Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 102/3 (1990/91) 22–25 grudnia 1970 r. Cena 1 zł

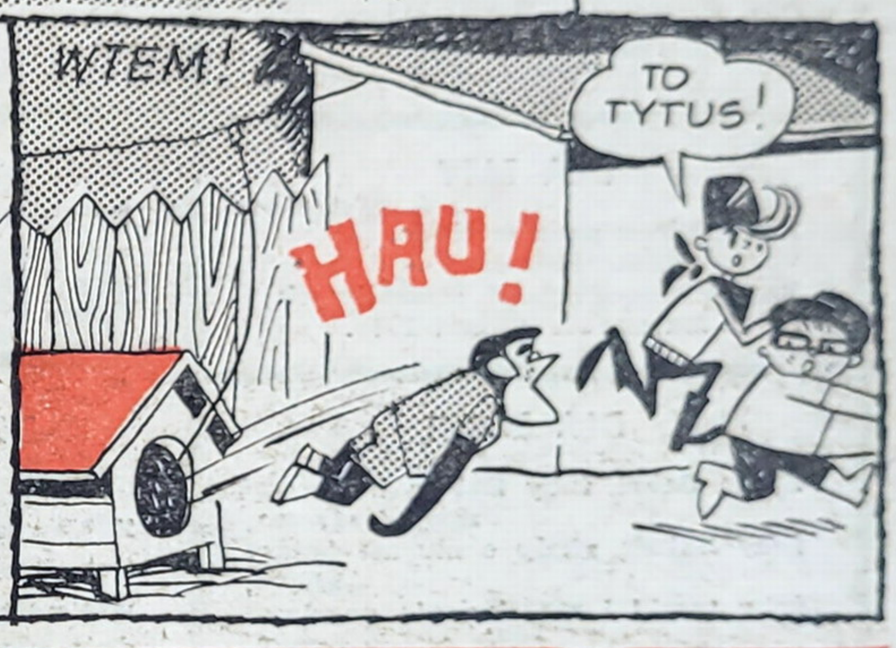

TYTUS, ROMEK i ATOMEK

H. J. CHMIELEWSKI

Panowie i damy życzenia składamy...

Składanie świątecznych i noworocznych życzeń nie jest sprawą prostą, bo wiem, że nie każdy umie wyrazić to, co czuje, co chciałby osobie, której składa życzenia, powiedzieć.

Można, oczywiście, powiedzieć po prostu — „Wesołych Świąt", albo „Szczęśliwego Nowego Roku", ale wszyscy tak mówią, a zdaje mi się, że wy chcielibyście być trochę bardziej oryginalni.

Więc może zrobimy tak — ja przedstawię Wam kilkanaście wierszowanych życzeń dla różnych osób, a wy wybierzecie sobie te, które Wam odpowiadają i nauczycie się ich na pamięć. A zresztą — niekoniecznie na pamięć, bo nie wszystkim życzenia składa się przecież osobiście. Niektóre wysyła się na kartkach pocztowych, więc wystarczy tylko te wybrane życzenia pięknie na pocztówce przepisać.

Przy okazji przypominam, że Konkurs ogłoszony przez Karolinkę w numerze 100 na najładniejsze pocztówki własnej roboty trwa i prace konkursowe można nadsyłać do dnia 1.I.1971 r.

A teraz pora na wierszowane życzenia:

DLA MAMY

Każdy o czymś marzy — a ja
marzę skrycie,
żeby Mama miała uśmiechnięte
życie.
Żeby Mama na mnie patrzyła z
uśmiechem
i żebym wyrosła Mamie na pociechę.
(lub — jeśli życzenia składa syn:
i żebym rósł zdrowo Mamie
na pociechę).

DLA TATY

Dużo śniegu pada w zimie,
wiele słońca niesie lato —
jeszcze więcej chwil szczęśliwych
niech ma zawsze z nami Tato.

DLA BABCI

Życzę Babci, żeby Babcia była
zawsze zdrowa,
żeby Babcię nigdy o nic nie bolała
głowa,
żeby troski i zmartwienia poszły,
gdzie pieprz rośnie,
żeby Babcia się cieszyła — głośno,
jak najgłośniej.

DLA DZIADKA

Ile świeczek na choinkach, a na
niebie gwiazd,
ile maku gospodynie wsadziły do
ciast,
tyle dziś Dziadkowi życzę wszelkiej
pomyślności —
zdrowia, szczęścia, chwil spokojnych
i z wnuków radości.

DLA SIOSTRY LUB KOLEŻANKI

Niech Ci Nowy Rok przyniesie
wiele szczęścia w darze
i niech spełniają się marzenia...
najtajniejsze z marzeń.

DLA BRATA LUB KOLEGI

Ile nart na górkach
i łyżew na lodzie —
tyle fajnych przygód
życzę Ci na co dzień.

DLA CIOCI

Życzę Cioci, żeby zawsze była
wypoczęta,
żeby miała uśmiech w domu i
Wesołe Święta.
Żeby wszystko się spełniło, o czym
Ciocia myśli,
żeby radość Cioci zawsze sprawiali
najbliżsi.

DLA WUJKA

Życzę Wujkowi, żeby Rok Nowy
wszystkie zamiary spełnić dopomógł,
żeby zmartwienia Wujek miał —
„z głowy",
sukcesy w pracy i radość w domu.

DLA SĄSIADÓW

Drzwiami i oknami
niech tu wchodzi radość —
tego z Nowym Rokiem
życzymy Sąsiadom.

DLA GOSPODARZA, DLA GOSPODYNI DOMU

Z Nowym Rokiem życzę Panu
(lub Pani)
wiele słońca i humoru,
dużo zdrowia, moc pieniędzy
i — pociechy z lokatorów.

DLA LISTONOSZA

Ile pracy ma Pan co dzień
doręczając ludziom listy,
tyle szczęścia z Nowym Rokiem
życzę w życiu osobistym.

DLA ROZNOSICIELA MLEKA

(Życzenia, które można napisać na pięknej kartce i przymocować do butelki, którą wystawiamy wieczorem za drzwi).
Ile gwiazd na Mlecznej Drodze
i z mlekiem butelek,
tyle szczęścia w Nowym Roku
życzą — przyjaciele.

DLA PANA W KIOSKU

W Nowym Roku żadnych trosk
i pieniędzy pełen kiosk.

DLA CZYTELNICZEK I CZYTELNIKÓW

Ile tuszu z długopisów
wypisałam w „Świecie Młodych",
tyle życzę Czytelnikom
zdrowia, przygód i pogody.

WANDA CHOTOMSKA

NAJLEPSZE ŻYCZENIA
ŚNIEGU I SŁOŃCA,
UDANYCH ŚWIĄT,
KOLOROWYCH CHOINEK,
WESOŁYCH KULIGÓW
I DUŻO RADOŚCI W „ZIMIE
NIEUSTAJĄCEJ PRZYGODY"
składa „Świat Młodych"
Swoim Czytelnikom

KRAKOWSKIE SZOPKI

Już po raz 28 odbył się w podwawelskim grodzie tradycyjny konkurs szopek. 4 grudnia ponad 50 majsterkowiczów — amatorów, z których najmłodszy miał 7 lat, rozłożyło swe barwne prace u stóp pomnika Adama Mickiewicza na krakowskim rynku. Każda szopka była inna, chociaż wszystkie przedstawiały charakterystyczne elementy architektury krakowskich zabytków i budowli oraz związane z Krakowem legendarne i historyczne postacie — to był warunek konkursu.

O tytuł najładniejszej ubiegały się i szopki-giganty osiągające 4 metry wysokości, i mechaniczne szopki-teatrzyki i miniaturki umieszczone w pudełku po „Akronie" albo w butelce. Wykonanie niektórych z nich pochłonęło od 500—1000 godzin.

Nowością tegorocznego konkursu były szopki „spożywcze". Jedna — dwumetrowa — wykonana została z jabłek, cebuli i czerwonej kapusty, inna — półtorametrowa — z andrutów.

W okresie świątecznym konkursowe eksponaty można oglądać w Muzeum Historycznym Krakowa. Warto dodać, że wiele spośród 1.600 wystawionych w ciągu 28 lat w Krakowie szopek, jest ozdobą muzeów świata, m.in. w Mediolanie i Paryżu. (t.k.)

Szopka-teatrzyk wykonana przez pana Dudzika
Foto: Jakub Grelowski

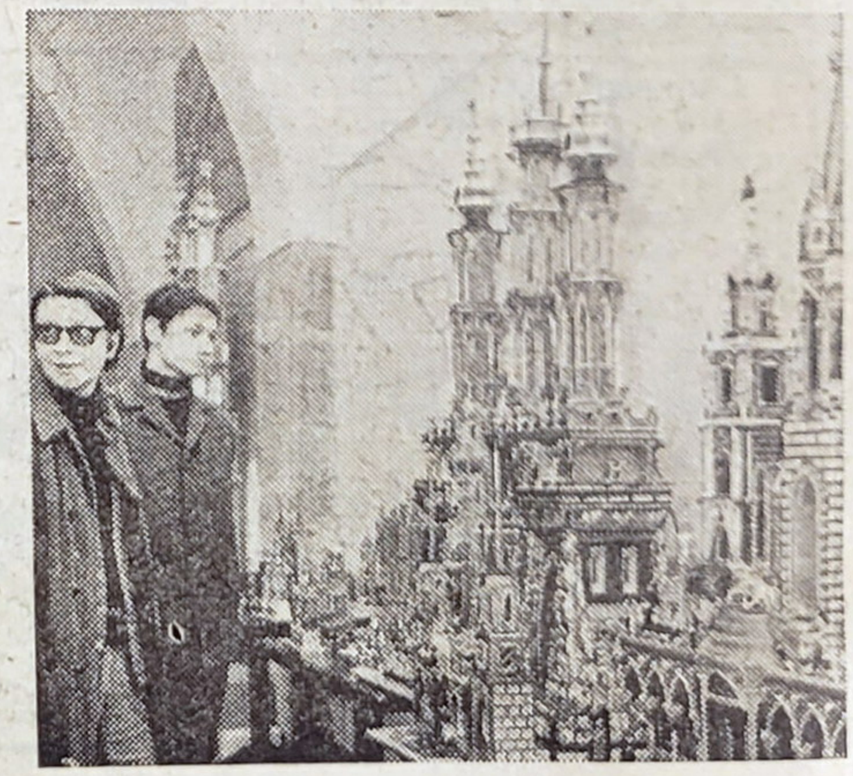

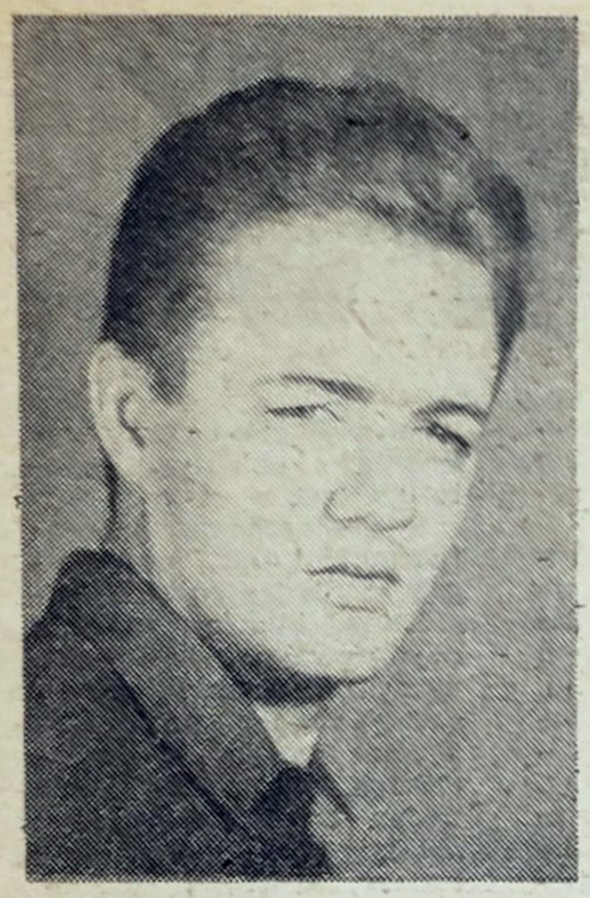

Damian Damięcki skończył Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Warszawie w roku 1964. Występuje w Teatrze Narodowym. Grał w takich spektaklach jak: „Sen nocy letniej" „Człowiek z budki suflera", „Kram z piosenkami", „Nieboska komedia". Ostatnio można go ujrzeć w „Hamlecie" i w sztuce „Na dnie". Z ważniejszych filmów Damiana należy wymienić: „Miłość dwudziestolatków", „Potem nastąpi cisza", „Nowy", „W każdą pogodę" (film TV). Damian oprócz występów w TV bierze również udział w szkolnych spotkaniach z młodzieżą występując w „Koncertach Żywego Słowa".

Maciej Damięcki ukończył Szkołę Aktorską w roku 1966. Pamiętamy go z takich młodzieżowych filmów jak: „Szatan z siódmej klasy", „Pingwin", „Banda" (za tę rolę zdobył nagrodę kinematografii NRD, podobną, jaką otrzymali Claudia Cardinale i Alain Delon). Inne filmy Macieja: „Spotkania w nroku", „Ludzie z pociągu", „Bokser", „Paryż — Warszawa bez wizy". Rodzimym teatrem Macieja jest Dramatyczny. Wystąpił w nim w takich sztukach jak: „Wieczór zbrodniarzy", „Mądremu biada", „Noc cudów", „Kroniki królewskie", „Zemsta".

ZNACIE ICH? — A WIĘC POSŁUCHAJCIE!

Damian i Maciej

Często widzowie toczą spory, czy są bliźniakami. Nie są! Damian jest starszy od swego brata Macieja o 2 i pół roku. Pochodzą z rodziny aktorskiej. Ojciec, Dobiesław Damięcki, był znakomitym aktorem dramatycznym w okresie międzywojennym i tuż po wojnie. Matka, Irena Górska, występuje na scenach warszawskich teatrów (ostatnio w Teatrze Dramatycznym razem z synem Maciejem).

Synowie sławnej aktorskiej pary byli zżyci z teatrem od dziecka. Jeździli po całej Polsce razem z Teatrem Wojska Polskiego, gdzie rodzice występowali w pierwszych latach po wyzwoleniu. Obaj chłopcy nie marzyli o innych zawodach. Aktorstwo było dla nich jedyną i oczywistą drogą życia.

Obecnie mam przyjemność rozmawiać z dwoma cenionymi i popularnymi aktorami.

*

— W filmie „Opowieść atlantycka" wystąpił pan, panie Damianie, jako mały chłopiec. Czy był pan także „cudownym dzieckiem" i w teatrze?

— O, tak! Moje pierwsze zetknięcie się ze sceną było znacznie wcześniejsze niż w filmie — śmieje się Damian. — Było to na przedstawieniu, w którym występowali moi rodzice, a ja jako 6-letni chłopak siedziałem za kulisami na kolanach inspicjentki. W trakcie sztuki z drugiej strony kulis ktoś z pracowników pokazał mi rurkę z kremem, a rurki bardzo lubiłem. Nie namyślając się wiele, wyrwałem się z objęć inspicjentki i po prostu wbiegłem na scenę, chcąc dostać się na drugą stronę kulis, po rurkę. To był mój sceniczny debiut.

— A pan, panie Macieju, też miał jako dziecko podobną „wpadkę"?

— Tak ale tylko głosową. Obyło się bez wejścia na scenę. W sztuce „Uczeń diabła" ojciec nasz grał tytułową rolę, a my siedzieliśmy na widowni. Gdy doszło w spektaklu do sceny egzekucji, nie wytrzymałem i zacząłem wrzeszczeć: „Nie wieszać mojego tatusia!"

— Pierwszym waszym filmem, w którym wystąpiliście razem jeszcze jako dzieci, był film „Tajemnica dzikiego szybu". Jakie role tam odtwarzaliście?

— Nie graliśmy, wbrew pozorom własnych braci — tylko kolegów. Jeden z nas był miłym i dobrze wychowanym synem dyrektora kopalni (Damian), a drugi grał łobuziaka, oberwańca z piegami i rudą czupryną (Maciej). Przy czym, aby nas już zupełnie nie można było poznać, Damian występował jako Damięcki, a Maciej jako Górski.

— Czy nigdy nie zdarzyło się wam grać razem filmowych braci?

— Raz. W filmie „Rzeczpospolita babska". Graliśmy tam bliźniaków, choć wcale nie jesteśmy tak bardzo do siebie podobni. Widzowie często jednak nas mylą, co w tym filmie się przydało. W jednej ze scen musiałem bowiem zastąpić w zdjęciach Mańka, który tego dnia nie mógł zjawić się na planie. Była to scena naszego wspólnego ślubu. Raz więc zagrałem siebie u boku własnej narzeczonej, a po chwili stałem przed ołtarzem z drugą narzeczoną jako mój brat. Widzowie niczego się nie domyślili.

— Telewidzowie do dziś także są przekonani, że w „Stawce" występowaliście obaj jako bliźniacy. Tymczasem obie role odtwarzał sam Maciej?

— Tak. I trudno to wszystko wyjaśnić. Nawet pewien reżyser rozmawiając kiedyś ze mną spytał: „Damian, ty właściwie jaki byłeś? Ten dobry, czy ten zły bliźniak?" Ani ten, ani ten — odpowiedziałem. Na co reżyser spojrzał na mnie z powątpiewaniem i odrzekł: „Rozumiem byłeś tym złym."

— Czy będziecie w dalszym pokoleniu kontynuować tradycje aktorskie?

— Wszystko wskazuje na to, że tak. Możemy już dziś wystąpić rodzinnie np. w jakimś spektaklu telewizyjnym...

Słusznie! Przecież żona Damiana — Barbara Borys jest reżyserką telewizyjną. Żona Macieja — Anita Dymszówna jest aktorką (córka sławnego Dymszy). Gra jeszcze matka Damięckich, no, a najmłodsza latorośl Damiana — 3-letni Grześ — też już zdradza aktorskie zainteresowania. Przyprowadzony pierwszy raz na próbę do teatru, widząc ojca w akcji, wybiegł zza kulis prosto na scenę. Powtórzył sceniczny debiut Damiana sprzed lat, tyle że zaczął znacznie wcześniej.

Postać Dobiesława Damięckiego chlubnie zapisała się w historii Teatru Polskiego, a jego dwaj synowie, Damian i Maciej, jak widać, z powodzeniem kontynuują te najlepsze aktorskie tradycje.

ALICJA WIELGOŁAWSKA

Foto: J. Płoński i CWF

Jako mali chłopcy wystąpili wspólnie w filmie „Tajemnica dzikiego szybu". Damian był grzecznym synem pana dyrektora, a Maciek zadziornym łobuziakiem.

Odpowiedzialność za nasz dom

W ostatnich dniach Gdańsk i Wybrzeże stały się widownią tragicznych zajść. Zdemolowano i podpalono wiele budynków publicznych. Doszło do rozbijania i grabieży wielu sklepów, do zniszczenia wielu samochodów. Atakowano i strzelano do milicjantów i żołnierzy stojących na straży porządku i bezpieczeństwa obywateli oraz mienia społecznego i prywatnego. Jest kilkunastu zabitych i kilkuset rannych, milicjantów i osób cywilnych. Tragiczne koszty kilku dni.

„Budować dom jest trudno, wymaga pracy i ciężkiego wysiłku — mówił Premier Cyrankiewicz w przemówieniu telewizyjnym i radiowym w dniu 17 grudnia. — **Podpalić i zniszczyć jest łatwo. Władza ludowa nigdy nie dopuści do tego, aby ten ciężko wypracowany dorobek był wystawiony na niebezpieczeństwo. Jest naszym świętym obowiązkiem bronić tego dorobku, wszystkimi koniecznymi środkami."**

Tylko wrogom naszej Ojczyzny może zależeć na tym, aby niepotrzebnie ginęli ludzie, aby bezmyślnie niszczono to, co z takim wysiłkiem, kosztem wielu wyrzeczeń budował naród polski — polski robotnik, chłop, inżynier, Wasz ojciec, matka, starszy brat — przez ćwierć wieku. W tragicznych zajściach w Gdańsku i na Wybrzeżu z poza pleców robotników wysunęły się zbrodnicze ręce wrogów Polski Ludowej. Nie trudno dojść do takiego wniosku, gdy ogląda się w telewizji i w gazetach zdjęcia zniszczonych budynków i sklepów. A pomyślcie o tych, którym nic już nie przywróci życia...

Dlatego obowiązkiem każdego Polaka-patrioty jest zachowanie porządku i spokoju. Nie wolno dawać posłuchu żadnym namowom do awantur, nie wolno dać się sprowokować.

Dwa dni temu zaczęły się zimowe ferie. Nie ma szkolnych lekcji, popołudnia wolne są od odrabiania zadań. Każdy z Was ma dużo wolnego czasu i każdy dysponując nim sam ponosi znacznie większą odpowiedzialność niż wtedy, kiedy znajduje się pod opieką rodziców, nauczycieli i wychowawców.

Odpowiadać za siebie — to poważna sprawa, to w pewnym sensie egzamin z Waszej dorosłości. Jestem przekonany, że zdacie go na piątkę, jak przystało na dziewczęta i chłopców gorąco kochających nasz kraj.

REDAKTOR NACZELNY

„Ludzie tej ziemi" — Indianie Mapuche. Legendarny i już nieżyjący kacyk Ajgo (z prawej) z synem. Podarowane przez niego poncho otrzymał pan Ostrowski w dowód przyjaźni. Teraz leży na jego łóżku.

POLAK

ALPINISTA, podróżnik, pisarz. Przy nazwisku Wiktora Ostrowskiego należy umieścić wiele jeszcze innych określeń. Z wykształcenia inżynier (specjalność budowa dróg i mostów) wędruje konno po... bezdrożach Patagonii. Ma swoją „jaskinię" w Buenos Aires — a sypia często w namiocie lub zgoła pod otwartą kopułą nieba. Zna siedem języków lecz najchętniej słucha ciszy gór lub odgłosów dżungli... Przyjaźni się zarówno z naukowcami jak i prostymi pasterzami bydła, często towarzysząc im na Pampie.

Dziwny człowiek! Lubią go nieufni Indianie i słowa zachwytu wypisują pod jego adresem uczennice. Cieszę się, że mogłam go poznać.

ARGENTYNA PO RAZ PIERWSZY

Z NIEKTÓRYCH argentyńskich przyzwyczajeń pan Wiktor Ostrowski nie rezygnuje i w Warszawie. Na przykład z picia swojej ulubionej yerba-mate... (czyt. żerbamate).

— Będzie smakowała jak słoma ze starego siennika! — ostrzegł i pierwszy pociągnął łyk z rurki zanurzonej w naczynku z naparem yerba.

— No jak? — spytał, kiedy starając się, na wszelki wypadek, łyknąć jak najskromniej, zwróciłam czarkę.

Dalej piliśmy sprawiedliwie po łyku i, chociaż tak właśnie wyobrażam sobie esencję z... siennika, nie mrugnęłam okiem.

Słuchałam opowieści, a także i odgłosów argentyńskiej dżungli nagranych na taśmie. Notowałam, zapominałam notować... To przypadek, ale był 9 listopada, a tego właśnie dnia i miesiąca roku 1933 pan Wiktor Ostrowski — najmłodszy uczestnik polskiej wyprawy w Andy — po raz pierwszy wyruszył do Argentyny!

Chodził zresztą nie tylko po Andach! W 1935 r. uczestniczył w wyprawie w góry Kaukazu, później był w Azji, wspinał się w Afryce na zaśnieżony szczyt Kilimandżaro. A w 1944 r. znalazł się pod Monte Cassino — jako żołnierz...

Od 1947 roku osiedlił się w Argentynie.

NAJWAŻNIEJSZE - PRZYRODA

PIERWSZY raz uciekłem z domu, gdy miałem 9 lat — opowiada pan Ostrowski.

— Wypacykowany na niebiesko, oczekiwałem nad brzegiem morza (a było to Czarne Morze, gdyż dzieciństwo spędziłem w Rosji) na mającą po mnie przypłynąć i zabrać w świat karawelę o rozpostartych żaglach. Trzęsąc się z zimna czekałem aż do nocy. Żaglowca wiatry nie przygnały... Słońce zaszło, wróciłem do domu. Mój pierwszy szczyt zdobyty w życiu to piramida Cheopsa, na którą wdrapałem się razem z jakimś przygodnym Arabem.

Każdy ma swój styl życia. Ja uważam, że najważniejsza jest przyroda. Sprawy materialne są drugorzędne. Jeśli przerywa się kontakt z przyrodą — tracimy wiele... Mnie się ten związek udawało zawsze utrzymać.

Kiedy chodziłem do gimnazjum w Sosnowcu, każde wakacje i wszystkie wolne chwile spędzałem na wędrówkach po kraju. Z kolegami odbyłem wówczas podróż łodzią, korytem Wisły do Gdańska. Piechotą przewędrowaliśmy nasze — niewielkie wówczas — wybrzeże bałtyckie. Założyliśmy koło „Włóczywariatów". Był to już wyższy stopień wtajemniczenia, do którego dochodziło się etapami, najpierw będąc „włóczypękiem", a później „włóczykijem". Tamte wędrówki łączą nas do dziś. Mieliśmy własny obrządek, własne pieśni.

Później poznałem jeszcze smak wielkiej przyjaźni na szczytach, którą my, ludzie chodzący po górach, nazywamy „braterstwem liny".

JASKINIA WIKTORA

TAK nazywają w Buenos Aires mieszkanie pana Ostrowskiego. A co sam gospodarz mówi o nim?

— Chodzi się u mnie cicho i powoli, bo jest tam tyle kurzu... — śmieje się. — Nie należy go więc wzbijać. Mam w „jaskini" również dużą bibliotekę i różne i liczne trofea.

— Ta skóra, na której stoją nasze krzesła jest chyba z argentyńskiej krowy? — pytam.

— Tak. Ale niech pani nie myśli, że ja mam w sobie myśliwską żyłkę! Do zwierząt strzelam tylko wówczas, gdy grozi mi bezpośrednie niebezpieczeństwo, albo jestem głodny.

W Afryce centralnej i wschodniej dokąd odbyłem wyprawę celowałem wyłącznie z obiektywu aparatu.

Z patagońskimi „centaurami" (tak nazywam gauczo, argentyńskich pastuchów) ludźmi zupełnie prymitywnymi, ale wspaniałymi, nie mającymi w sobie żadnej uniżoności, bywam czasami w drodze tydzień, dwa. Przy sobie mamy tylko sól, jedzenie „idzie" przed nami, 3—5 tysięcy sztuk bydła... W Patagonii jestem każdego roku, moja „jaskinia" stoi pusta i właśnie wtedy osiada w niej kurz.

KACYKU, ŚPIJ NA ZEWNĄTRZ

JEŚLI NIE JESTEM w Buenos, zawsze sypiam na dworze, w namiocie. Mój przyjaciel, jeden z osiadłych w Patagonii Polaków, ma domek w cudownej dolinie w lesie. Syn przyjaciela nazywa mnie „kacykiem". Kiedy jestem tam u nich, przychodzi wieczorem pod mój namiot i pyta:

— Kacyku, czy mogę spać z tobą?

Jestem dobrodusznym kacykiem, pozwalam. Następnego wieczora w moim „wigwamie" zastaję całą gromadę przyjaciół chłopca, a wraz z nimi wszystkie ich psy i koty.

— Kacyku, śpij na zewnątrz — słyszę, no i śpię pod drzewem! Kiedyś jednak usłyszałem również inną prośbę:

— Kacyku, zabierz nas do Indian... Gromada dzieciaków składała się z ośmiorga dziewczynek i chłopców. Najmłodsze, dziewczynka, miała lat 8, najstarsze — 14. Juki z żywnością załadowaliśmy na konie i poszliśmy. Po drodze łowiliśmy pstrągi. Dla moich młodych przyjaciół była to cudowna

---

DZISIAJ MAMY okazję niezwykłą — wszyscy zasiadamy pod świąteczną choinką. Umówmy się, że zanim zapalimy na niej pierwszą świeczkę — złożymy pod naszą choinką dary najcenniejsze — nasze małe i duże radości, które towarzyszą nam codziennie — w domu, w szkole, na podwórku i na ulicy. Wszędzie tam, gdzie znajdujemy serdecznych przyjaciół — na dobre i na złe.

W dniach świątecznych pod klubową choinką znajdziecie radości „przewiązane" różową wstążeczką i złożone przez uczennice i uczniów z klasy VIII b ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Koluszkach.

KW

co nas cieszy?

Przez różowe okulary

...„A mnie bawi i ciekawi, a mnie cieszy cały świat" ...tak śpiewa Kasia Majewska i mnie także cieszy wszystko, co jest wesołe, co jest zabawne. Bawi mnie dobry film, wesoła anegdota, miła zabawa. Cieszy wszystko — najmniejszy szczegół, każda piątka w szkole, wyjazd do teatru, nawet pisanie w klasowej kronice jest dla mnie zabawą i przyjemnością. Także wesołe rozmowy z koleżankami podczas powrotu ze szkoły do domu.

Karolinka

Uśmiech naszej wychowawczyni

Najbardziej nas cieszy uśmiech naszej wychowawczyni, pani Stanisławy Hadryś, która organizuje nam wiele zabaw i ciekawych imprez.

znad wielkiej rzeki

przygoda — dla mnie zwyczajne życie.

LUDZIE TEJ ZIEMI

TAK NAZYWAJĄ SIĘ mieszkający tu Indianie, Mapuche — „ludzie tej ziemi". Europejczycy mówią o nich — Araukanie. W okresie konkwisty, czyli podboju Ameryki Południowej przez Hiszpanię, ażeby dotrzeć do fortu, w którym znajdowała się załoga białych, trzeba było przedostać się przez teren Indian. Fort leżał nad rzeką Rauko, daleko na południu, tam gdzie diabeł zgubił swoje ponczo. Stąd pewnie wzięła się nazwa ludzi tej ziemi — Araukanie.

W 1962 roku odbył się pierwszy na świecie kongres poświęcony ludowi Mapuche. Uczestniczyło w nim czterech Indian-kacyków, a wśród białych byli dwaj Polacy. Jednym z nich byłem ja. Na kongres przybyli także naukowcy z Chile i przywieźli ze sobą wydawnictwa poświęcone Araukanom. Wydana w Santiago de Chile książka o Araukanach nosiła nazwisko Ignacego Domeyki — Polaka, który całe życie poświęcił temu krajowi.

Pracowałem w sekcji geograficznej. Przed 100 laty Araukanów było 400 tysięcy. W 1962 roku w przybliżeniu — zaledwie 8 tysięcy... Na kongresie toczono debaty jak ich ocalić: przez asymilację czy też osadzenie w rezerwatach...

POLSKI ORZEŁEK

MÓWIĘ TROCHĘ w języku Mapuche, znam Indian dość długo, są nieufni. Gdy zapytać:

— To dobra droga? — odpowiedzą — Si, senior!

— To zła droga? — Si, senior!

Po wielu odwiedzinach i wypiciu niejednej yerbamate przekonali się i upewnili, że nie kpię z ich zwyczajów, z ich tabu. Pomógł mi w tym nasz polski orzełek. Biały orzeł jest bowiem dla Mapuche świętym ptakiem-nianku.

— Ja też — powiedziałem zdejmując czapkę — czczę białego orła, to jest i mój święty ptak. Pokazałem im nasze godło. To mi ich zjednało. Po 12-letniej przerwie właśnie w tym roku odwiedziłem ten sam rezerwat — witali mnie jak brata...

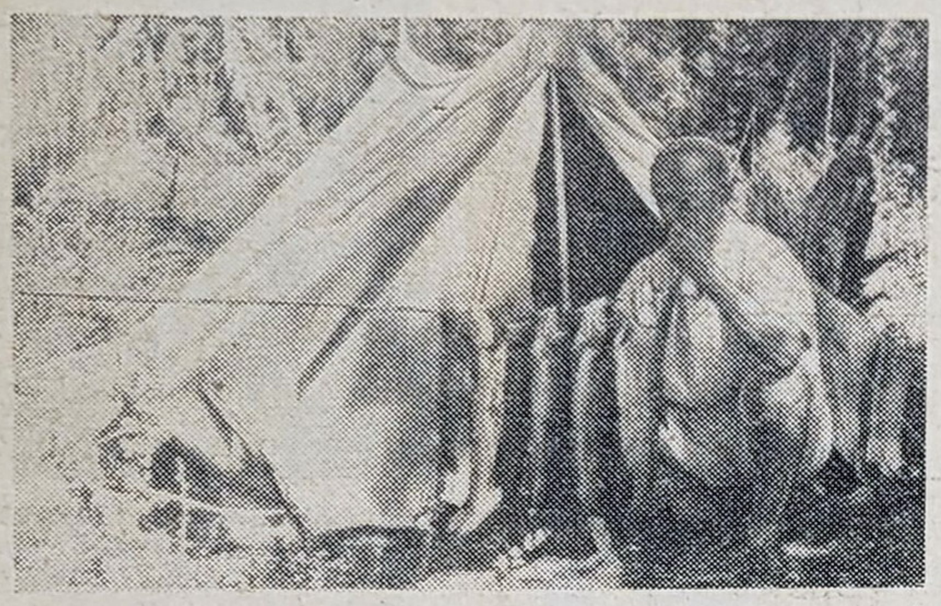

Wiktor Ostrowski nie tai, że ma lat 65. Ale również dodaje, że przepływa rzekę Paranę Las Palmas tam i z powrotem! Na zdjęciu widzicie go podczas jednej z „włóczęg", gdy przygotowuje pstrągi do wędzenia.

Teraz już jest ich tylko kilka tysięcy — „Ludzie tej ziemi", dla których nasza cywilizacja i choroby przyniesione przez przybyszów z Europy nie są dobrodziejstwem, niestety.
Foto: W. Ostrowski

ZNAJOMY GRZECHOTNIK

PAN OSTROWSKI jest po raz trzeci w Polsce, ma tu teraz swój drugi dom. Kiedy czytaliście w 95 numerze reportaż z płockiego Ogrodu Zoologicznego, zwróciliście może uwagę na jego nazwisko. Tak, to ten sam pan Wiktor Ostrowski, który wśród argentyńskiej polonii zorganizował całą akcję wymienną: za polskie książki — egzotyczne zwierzęta!

— Poprzednim razem, gdy byłem w kraju, postanowiłem odwiedzić dyrektora płockiego Ogrodu — Tadeusza Taworskiego. Nie wiedziałem jednak czy pełni on tę funkcję nadal. Płocka nie znałem, pytałem więc o drogę do ZOO. Dowiedziałem się nie tylko jak tam dojechać, ale usłyszałem, że mają tam grzechotnika, krokodyla...

— Znam tego grzechotnika — rzekłem. — Przez dwa tygodnie siedział pod moim łóżkiem w Buenos.

— Idź i zapytaj o dyrektora — poprosiłem mojego informatora. — Jeśli jest nim brodacz, powiedz mu, że przyjechał jeden „Amerykanin" i chce się z nim widzieć. Sam pozostałem w samochodzie. Patrzę — leci brodacz! Ten sam!

KSIĄŻKA, KTÓREJ WYPOŻYCZYĆ NIE MOŻNA

WIKTOR OSTROWSKI jest autorem książek wydawanych po polsku i po hiszpańsku w Argentynie. „Na szczytach Kordylierów", „W skale i lodzie", „Żołnierz z Monte Cassino", „Safari przez Czarny Ląd", „Wyżej niż kondory", „Życie wielkiej rzeki" — oto tytuły, które można wypożyczyć w bibliotece.

Ja miałam okazję widzieć książkę niezwykłą, z którą pan Wiktor nie rozstaje się nigdy. Na jej marginesach wpisali się różni ludzie: Witold Małcużyński — pianista, Aleksander Fadiejew i Ilia Erenburg — radzieccy pisarze (już nieżyjący), Maurycy Herzog — dowódca himalajskiej wyprawy francuskiej, późniejszy minister w rządzie generała de Gaulle'a.

A za okładkami tej zupełnie innej od wszystkich książek, pamiątki najmilsze: wyrwane z „czytanki" kartki, które pewien student Polak, zamieszkały w Argentynie ofiarował panu Ostrowskiemu jako swój skarb najcenniejszy. Autorem tych kartek jest... Wiktor Ostrowski, a treścią — jego andyjskie wspomnienia. Jest tu i szkolne wypracowanie pewnej uczennicy z Opola, którego bohaterem jest Wiktor Ostrowski.

* * *

Jeszcze ostatni łyk yerba i pora pożegnać pana Wiktora Ostrowskiego. Polaka z dalekiej Argentyny, który przewędrował kawał świata, zna górskie łańcuchy i stepy i o swoich wyprawach napisze jeszcze niejedną ciekawą książkę.

W warszawskim mieszkaniu Wiktora Ostrowskiego była
ANNA GRZYBOWIECKA

Lubi z nami żartować, a także dobrze nas uczy matematyki i właściwego zachowania się. Nasza pani prowadzi nas od pierwszej klasy i bardzo się z nią zżyliśmy.

Sławek i Andrzej

Nasza miła koleżanka

Moja koleżanka, Ewa Chajdys, jest bardzo wesoła i lubi ją cała klasa. Właśnie dzięki Ewie nasza klasa jest bardzo zgrana. Ewa pomaga słabszym uczniom w nauce. Bardzo lubimy przebywać w jej towarzystwie, ponieważ z Ewą można porozmawiać o wielu interesujących sprawach. Często też spotykamy się w jej mieszkaniu i słuchamy płyt.

Grzegorz

Rozweselić klasę!

Większą część dnia spędzam w szkole i dla mnie każdy dzień tutaj przeżyty kryje coraz nowe niespodzianki. Szczególną uwagę pragnę zwrócić na naszego kolegę Pawła i jego przyjaciela Andrzeja. Obydwaj chłopcy są bardzo mili i mają duże poczucie humoru. Jeśli w klasie jest nastrój nie taki jak należy, to wtedy moi koledzy rozpoczynają akcję rozweselania klasy. Znają wiele skutecznych sposobów, które doprowadzają nas do tego, że zwijamy się ze śmiechu. Paweł jak na swój wiek jest niski i, moim zdaniem, jest świetnym komikiem.

Ela

Śmiejmy się ze wszystkiego

Doświadczenia, jakie wyniosłem z klasowego życia, dowiodły, że każdy nauczyciel ma w sobie coś wesołego, co nas, uczniów rozśmiesza. Nauczyciele bardzo często są tematem naszych dowcipów.

Yeti

Maryniu, umiesz smażyć naleśniki?

Szczególnie cieszy mnie jedna para z naszej klasy — są to Marynia i Andrzej. Andrzej, wesoły blondynek, na każdej przerwie potrafi prowadzić z Marynią dyskusje, które nas rozśmieszają. Mówi: „Maryniu, czy umiesz smażyć naleśniki?" Marynia milczy. Andrzej: „Jeśli umiesz, zostaniesz moją żoną". A muszę dodać, że Andrzej jest znany z tego, że potrafi zjeść ogromną ilość naleśników.

Mimi

Legia, gola!

Do moich największych uciech należą mecze piłki nożnej, a najbardziej wygrane Legii. Cieszą mnie sukcesy sportowców, którzy wyjeżdżają za granicę i przysparzają nam, Polakom, sławy.

Sam bardzo lubię grać w piłkę nożną i dlatego latem aż do późnych godzin wieczornych jestem na boisku.

Paweł

Nie lubię posępnych ludzi

Zawsze jestem uśmiechnięty i nie lubię ludzi poważnych i posępnych. Dlatego staram się zawsze ich rozśmieszyć i naprowadzić na weselszą drogę.

Baltazar

Radości zebrała:
B. SKÓRSKA

Foto: L. Charewicz

GRAFOLOGIA. Na pewno nie raz słyszeliście to słowo, ale czy wiecie, co ono znaczy? Jedni uważają grafologię za gałąź wiedzy, inni za pseudonaukę, jeszcze inni za sztukę tajemną, bo ponoć ci, którzy się nią parają i poznali jej tajniki — grafolodzy — posiadają specyficzną intuicję i niezwykły dar. Patrząc na czyjś rękopis potrafią do tego stopnia wczuć się w stan piszącego, że pozwala im to na odczytanie z pisma jego cech charakteru, a nawet losu.

Słowa ulatują PISMO pozostaje...

POKAŻ MI JAK PISZESZ, POWIEM CI KIM JESTEŚ,

W podpisach muzyków widzieli niektórzy grafolodzy elementy nut i klucza wiolinowego, w podpisach duchownych — krzyże, matematyków — cyfry, lotników — śmigła, a wieśniaczek — ni mniej ni więcej tylko... jaja. Inni uważali, że pismo pochylone w prawo świadczy o kiepskim samopoczuciu piszącego, nachylone w lewo — o przesadnym dążeniu do panowania, zaś prostopadłe — o zbytniej pewności siebie. Byli i tacy, którzy utrzymywali, że krótkie ogonki takich liter jak g, j, p, y świadczą o tym, że piszący wstydzi się swoich dolnych kończyn, np. z powodu kalectwa. Ale największe moje zdumienie wywołała teoria niemieckiego specjalisty, według której ktoś, kto stale pisze literę „o" bez domykania kółka, jest człowiekiem o skłonnościach złodziejskich. Złodziej chce, by wszystko było otwarte, więc i on owe „o" pozostawia niedomknięte.

Istny sennik egipski! Jakie zastosowanie w praktyce mają te niby niezawodne metody, przekonacie się za chwilę. Otóż znany kryminalistyk szwajcarski — Reiss — podaje, że pewnemu wybitnemu grafologowi pokazano jakiś rękopis. Ten zaś stwierdził, że jest to pismo „...skromnej, o dobrym i współczującym sercu" młodej dziewczyny. W rzeczywistości był to rękopis groźnego zbrodniarza, który miał na sumieniu pięć mordestw...

Kiedy indziej znów od dużej grupy osób pobrano próbki pisma, po czym schowano je do szafy nie trudząc się absolutnie ich oglądaniem. Po jakimś czasie wszystkim biorącym udział w eksperymencie wręczono kartki z jednakową opinią o ich cechach charakteru. O dziwo, wszyscy tę opinię zaakceptowali. Dlaczego? Bo większość wymienionych cech można było przypisać każdemu. Na tej samej zasadzie działają drukowane często w prasie horoskopy. Czytasz tylko swój i jesteś zadowolony nie przypuszczając, że sąsiedni też by pasował. Także z tej samej przyczyny spełniają się często wróżby Cyganek i innych „jasnowidzących" osób.

MARNY ZE MNIE FAŁSZERZ

Pan dr M. Czubalski nie byłby zadowolony, gdybym nazwała go grafologiem. Bo jeśli zajmuje się badaniem pisma, to robi to po to, by ustalić, czy dany tekst jest autentyczny, czy podrobiony, albo kto jest jego autorem. A to już nie jest grafologia, lecz tzw. **ekspertyza graficzna pisma.**

— Panie doktorze — pytam — czy mógłby pan rozwiązać taką zagadkę: która z tych czterech kartek zapisana jest ręką innej osoby niż pozostałe?

— Proszę o chwilę cierpliwości. Nie wiem, czy da się to tak ustalić na poczekaniu, ale spróbuję.

Parę minut trwa zupełne milczenie. Potem słyszę:

— Na pierwszy rzut oka każdy z tych rękopisów jest inny...

Znowu cisza. Z uwagą śledzę wyraz twarzy mojego rozmówcy. Sama minę mam niewinną, chociaż uknułam podstęp.

— Nie odrzuciłbym żadnej z nich — zapada werdykt.

— I ma pan rację. Pytanie było podchwytliwe. To moje pismo na wszystkich kartkach!

No cóż, nie udało się, mimo że próbki były bardzo niepodobne do siebie. Na jednej kartce widnieje starannie drobniutkimi pochyłymi literkami wykaligrafowany list do cioci, na drugiej — pośpieszne notatki z wykładu, na trzeciej — kilka wyrazów napisanych „wołami", na czwartej — praca domowa z angielskiego.

— Pismo każdego człowieka posiada cechy, których nie da się ukryć nawet wtedy, gdy komuś bardzo zależy, aby jego charakteru pisma nie rozpoznano — mówi pan Czubalski.

PISMO NIE KŁAMIE

BYŁO TO we wrześniu 1948 roku. W Warszawie na miejscu napadu sprawca nie zostawił żadnych śladów prócz kilku zapisanych zeszytów, ale bez podpisów. Jak go odnaleźć w wielotysięcznym tłumie warszawiaków? Po zapoznaniu się z treścią notatek można było ustalić, że sporządził je słuchacz technicznej szkoły zawodowej dla dorosłych. Znaleziono tę szkołę i pobrano próbki pisma od wszystkich jej uczniów. Potem przyszła kolej na żmudne badania. Jedno pismo okazało się podejrzane. Znaleziono właściciela zeszytów, który w czasie przesłuchania przyznał się do winy.

Chciałam, aby ten przykład wyjęty z kroniki sądowej przekonał Was o tym, że pismo jest wizytówką piszącego. I wątpić w to nie można, że nie ma na świecie dwojga ludzi piszących tak samo. Kształt liter, grubość linii, szerokość marginesów, sposób łączenia znaków graficznych, nawet kropka nad i, która może być kółkiem, łukiem, haczykiem, kreseczką, przecinkiem — wszystko się liczy. A są to tylko niektóre z wielu cech branych pod uwagę przy przeprowadzaniu skrupulatnej ekspertyzy porównawczej pisma. Prawdy nie da się ukryć — fałszerstwo ma krótkie nogi.

*

— Panie doktorze — pytam pana Czubalskiego podczas mojej ostatniej wizyty w Zakładzie Kryminalistyki — przyznam, że zafascynowała mnie ta tematyka. Proszę mi powiedzieć, czy tak zupełnie należy potępić grafologię? Wydaje mi się, że jednak coś w tym jest. Skoro każdy człowiek posiada jemu tylko właściwy charakter pisma...

— Ja bym nie potępiał. Charakter pisma, tak jak zachowanie, sposób mówienia, gestykulacja, świadczy przecież o człowieku, o jego cechach psychicznych i fizycznych. Już od lat w medycynie na podstawie analizy pisma wykrywa się pewne choroby układu nerwowego. Być może grafologia stanie się kiedyś jedną z rzetelnych gałęzi wiedzy. Ale trzeba na to czasu i wielu badań.

T. DROGA-KUPCZYŃSKA

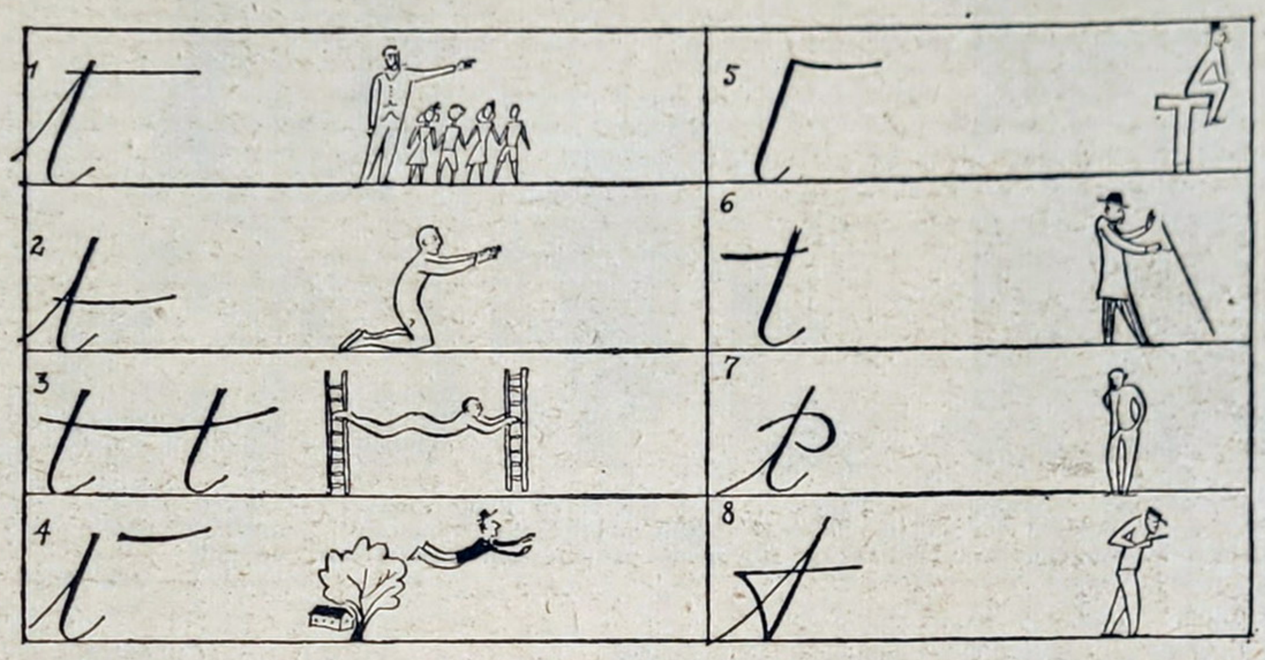

Oto próbka pseudonaukowej symboliki grafologicznej. Kształt litery „t" ma świadczyć o osobowości piszącego. 1. Potrzeba opiekowania się, autorytet, uczucia ojcowskie. 2. Posłuszeństwo, tendencja do podporządkowywania się. 3. Gimnastyka umysłowa, w ten sposób pisze osoba rozwiązująca krzyżówki albo problemy szachowe przy obiedzie. 4. Człowiek „podniebny", wysoko sięgający po idee. Einstein tak pisał i... były angielski minister lotnictwa. 5. Pragnienie znajdowania się na wierzchołku, ambicja. 6. Ręka na hamulcu, oznaka ostrożności, powściągliwości. 7. Zagarnianie, chowanie do kieszeni, chciwość na pieniądze, samolubstwo. 8. Stosowanie przymusu, despotyzm, brak tolerancji.

Ta metoda badania wiarygodności podpisu nosząca nazwę geometryczno-strukturalnej pozwoliła z całą pewnością wykryć fałszerstwo.

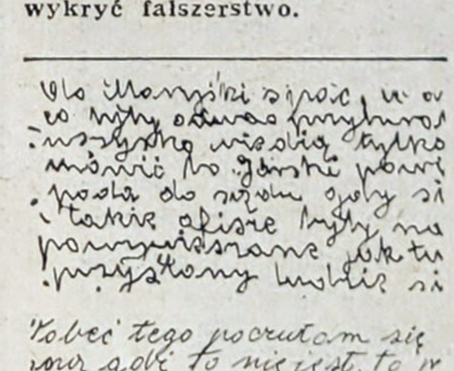

Autorka reprodukowanego na górze anonimu dla niepoznaki napisała go lewą ręką. Lecz i to nie zatarło cech indywidualnych jej pisma. Mimo iż materiałem porównawczym były pisma praworęczne (próbka na dole) — pan doktor Czubalski stanowczo zidentyfikował autorkę anonimu.

Uniwersalny basen dla pływaków wszystkich klas

DWAJ radzieccy inżynierowie z Wołgogradu — Mikołaj Grebiennikow i Albert Waliulin — zbudowali basen pływacki o najdłuższym na świecie torze. Znawcy z urzędu patentowego orzekli, że wynalazek ten nie ma precedensu wśród urządzeń sportowo-treningowych.

Długość basenu jest niewielka — 3,5 metra, ale tego krótkiego dystansu nie zdoła przebyć nawet

najznakomitszy pływak. Sekret jest prosty: pod dnem pojemnika umieszczono kanał obwodowy i pompę, która wielokrotnie przepompowuje przez zamknięty obwód tę samą wodę. W ten sposób powstaje rzeka o nieskończonej długości. Pływak płynie zawsze „pod prąd" — a właściwie płynie w miejscu. Siłę prądu można zawsze dostosować do możliwości pływaka. Specjalne urządzenie odbiera sygnały maleńkiego nadajnika z basenu i przekazuje je do motoru poruszającego pompą. Można też regulować ją ręcznie — czyni to trener lub sam pływak. W mini-basenie mogą trenować pływacy wszystkich klas.

Aby w zbiorniku wody o wymiarach — długość 3,5 metra, szerokość 2 metry i głębokość 1 metr — uzyskać jednakową siłę prądu, przy wejściu i wyjściu kanału ustawiono kraty z otworami o zmiennej średnicy. Dodatkowa zaleta basenu: nie ma tu żadnych fal i na pewno nikt nie utonie. (jk.)

Sztuczny śnieg

● Wywoływanie sztucznego deszczu kończy się na ogół sukcesem, chociaż sporo brakuje jeszcze do ostatecznego rozwiązania wszystkich problemów technicznych związanych z tym zabiegiem. Interesujące eksperymenty podjęto w USA, gdzie przeprowadzono pierwsze próby wywołania sztucznego śniegu. W ub. roku eksperymentalnie spowodowano opady sztucznie wywołanego śniegu w górach San Juan w południowo-wschodniej części stanu Colorado. Opady były tak obfite, że w br. władze ograniczyły eksperymenty w obawie przed lawinami.

Pierwsze strzały w chmury w celu wywołania opadów śniegu nastąpiły w końcu października na obszarze prawie 5 tys. km kw. przylegającym do rzeki Piedra. Sztuczny śnieg poprawia warunki rolnicze w tej części stanu Colorado, w której mrozy szkodziły uprawom.

WZDŁUŻ POLARNEGO KRĘGU

Z kutra wyładowano ostatnie pakunki z żywnością i ekwipunkiem. Znalazło się również na lodzie dwoje sań. Każde sanie miały po trzy i pół metra długości. Siłą napędową tych śnieżnych wehikułów miały być ludzkie mięśnie i wiatr. Kuter dał sygnał, załoga pomachała rękami i wkrótce stateczek znikł za skalnym cyplem. Na lodowcu, wśród skrzynek z wyposażeniem wyprawy zostały cztery osoby: trzech mężczyzn i jedna kobieta. Przed nimi — ponad 700 kilometrów grenlandzkiej lodowej pustyni. Mają ją przebyć pieszo. Jest 20 czerwca 1965 r.

Noc na lodowcu

Szybko zapada zmierzch na tych szerokościach geograficznych. Czwórka śmiałków ustawia namiot. Ma on podwójne pikowane ściany nylonowe, potrafi oprzeć się grenlandzkim mrozom i śniegom. Już w śpiworach rozmawiają o czekającej ich podróży. Celem wyprawy jest wszechstronne badanie psychicznej odporności człowieka w warunkach polarnej zimy. Hugh Simpson — kierownik ekspedycji — jest szkockim lekarzem neurologiem. Towarzyszy mu jego żona — Myrtle, która brała udział w wielu wyprawach, m.in. do Australii, na Spitsbergen, w Andy. Trzeci uczestnik wyprawy — to William Wallace, weteran himalajskich wędrówek. Roger Tufft — to drugi uczony w składzie ekspedycji, a także jej nawigator.

Kiedy wstaje blady świt wszyscy są już na nogach. Trzeba rozmieścić na saniach ponad 400 kg ładunku. Wszystko jest tak pomyślane, by bagaż ważył jak najmniej. Nie wzięto np. ciężkich konserw mięsnych, ale mięso liofilizowane, czyli odwodnione. Tak przygotowane mięso traci ok. 80 procent swej wagi. Wystarczy je tylko zagotować, a nabiera świeżości i smaku. Właśnie takie mięso, suchary i kakao składają się na pierwsze obfite śniadanie. A potem — uprząż na ramię i w drogę.

Pieszo przez LODY GRENLANDII

Śnieżna burza i złudzenia

Ale już po kilkunastu kilometrach okazuje się, że dalszy transport rzeczy na dwóch saniach jest niemożliwy. Mnogość lodowych szpar, wodne strumyczki i jeziorka utrudniają marsz. Szef wyprawy decyduje: przepakować bagaż na jedne sanie. Trzech mężczyzn będzie je ciągnąć jadąc z przodu na nartach, pani Myrtle będzie nimi z tyłu sterować. Rzeczywiście, tak jest lepiej...

Już 10 dni podróżują przez milczącą białą pustkę. Z wyjątkowo wielką siłą prześladuje ich fatamorgana, złudzenie optyczne, którego doznaje się również na piaskowych pustyniach. Tu — wśród grenlandzkich lodów — owe złudzenia pojawiają się w formie cudacznych gór, skalnych złomów, chmur. Cała czwórka używa specjalnych przeciwsłonecznych okularów, by nie narazić się na porażenie wzroku od oślepiającej bieli śniegu i lodu.

Jedenastego dnia zaczyna padać śnieg. Zrywa się też potworny wiatr. Osiem godzin czwórka śmiałków brnie, nic nie widząc, w podbiegunowej zadymce. Pokonują przez ten czas tylko niewiele ponad 6 kilometrów. Z trudem rozbijają namiot. Dr Simpson mimo zmęczenia dokonuje badań. Wszyscy zgadzają się na nie, pod warunkiem, że on właśnie przygotuje również kolację. Wypijają duży garnek zupy leżąc już w śpiworach...

„Kon-Tiki" śniegowych mórz

Sanie wyprawy zostały tak zbudowane, by można było zamocować na nich żagiel. Mężczyźni przymocowują bambusowy maszt. Kiedy huragan ustał, podnieśli żagiel. Sanie szarpnęły i zaczęły powoli posuwać się do przodu. To był sukces! Teraz pojazd wyglądał z daleka jak słynna tratwa „Kon-Tiki" wśród bezkresnych mórz śniegowych. W ten sposób wyprawa pokonuje blisko 35 km w ciągu dnia.

15 lipca zaczyna się gwałtowna odwilż. Znów trzeba ciągnąć sanie. Mokry śnieg lepi się do płóz i do nart, pożera nadwątlone siły ekspedycji. Nawet jej szef zaczyna sarkać...

Przed nimi tylko nieustraszony Fridtjof Nansen odbył podobną podróż — przejechał w poprzek grenlandzki lód ze wschodu na zachód. Było to w 1888 roku. Ale Nansen miał pięć sań z psimi zaprzęgami, a jego ekipa składała się z sześciu mężczyzn. Udało im się wtedy obalić twierdzenie, jakoby w środku Grenlandii była zielona kraina, pełna przedziwnych zwierząt.

Trzej mężczyźni i kobieta uparcie podążają naprzód. Umieszczone w tyle sań koło rowerowe ze specjalnym licznikiem pracowicie sumuje przebyte kilometry.

Tundra i eskimosi

Ponad 30 dni wędrują już wśród lodów — stale na zachód, prawie wzdłuż Kręgu Polarnego. Pewnego dnia Myrtle zauważa na horyzoncie coś, co może stanowić góry. Ale Roger Tufft ma wątpliwości. „To na pewno znów fatamorgana" — stwierdza ku niezadowoleniu odkrywczyni. Ale rzekomy miraż nie znika. Więc to rzeczywiście wzniesienia, a za nimi — tundra.

Za pomocą maleńkiego odbiornika tranzystorowego łapią dokładny czas i dokonują pomiarów swego położenia geograficznego. Tak, nie ulega wątpliwości — są blisko celu. Ale upływa kilka dni zanim docierają do granicy lodu. Jak na komendę cała czwórka zanurza ręce w rzadkiej trawie, wącha ją, dotyka pieszczotliwie jakichś drobnych kwiatuszków...

Idąc brzegiem lodu docierają do siedzib ludzkich. Zatrzymują się na dłużej w osiedlu Eskimosów. Po raz pierwszy od tylu dni śpią pod solidnym dachem, w porządnym drewnianym domu! Eskimosi cenią odważnych, goszczą wyprawę z całego serca. Dr Simpson przeprowadza ostatnie badania swojej ekipy. Za kilka dni polecą samolotem na prawdziwy odpoczynek do rodzinnej Szkocji, która w porównaniu z daleką Północą wydaje się tropikalnym rajem.

Oprac. J. S.
Foto: archiwum

Podobała się Wam wyprawa przez lody Grenlandii? Chcielibyście przeżyć podobne emocje? Wszystkim uczestnikom „Zimy Nieustającej Przygody" proponujemy zorganizowanie „WYPRAWY DO BIEGUNA". Można ją zorganizować w każdej miejscowości. Szczegóły na str. 8—9.

ZIMA NIEUSTAJĄCEJ PRZYGODY

WYPRAWA do BIEG

Nie mamy w redakcji Wicherka — nie możemy gwarantować na ferie zimowe stuprocentowej śnieżnej i mroźnej pogody w całym kraju. Ale mamy nadzieję, że śnieg będzie. — „Czuję to w kościach!" — powiedział dziadek szefa dzisiejszej operacji „Zimy nieustającej przygody". Dziadek szefa nie myli się nigdy. A więc na jego odpowiedzialność ogłaszamy dziś:

OPERACJĘ „WYPRAWA DO BIEGUNA"

Głos ma Szef Operacji „Wyprawa do Bieguna":

— Witam wszystkich uczestników naszej „Zimy" i zalecam przeprowadzenie w najbliższych dniach w czasie ferii przy sprzyjającej śnieżnej pogodzie „Wyprawy do Bieguna". W tym celu należy:

● **ZEBRAĆ waszą grupę „ZIMY NIEUSTAJĄCEJ PRZYGODY" i przeczytać wspólnie cały tekst dzisiejszej operacji.**

● **WYZNACZYĆ na własnoręcznie zrobionej mapie waszej okolicy trasę przyszłej „Wyprawy do Bieguna". Wyznaczenia trasy dokonuje w tajemnicy szef każdej grupy. Na trasie powinno być m.in. uwzględnione miejsce na biwak (najlepiej pod lasem lub w lesie), miejsce obserwacji dzikich zwierząt (w okolicy karmników) oraz miejsce samego Bieguna (na niewielkim pagórku). Warto też wybrać miejsce do realizacji zadania specjalnego.**

● **ZGROMADZIĆ wspólnie niezbędny do wyprawy sprzęt, a więc przede wszystkim sanki, a w miarę możliwości również narty. Przygotować termosy na gorącą herbatę, którą zabierzemy w drogę. Psów do sań zaprzęgać nie będziemy, ale warto wziąć ze sobą przynajmniej jednego lub dwóch naszych czworonożnych przyjaciół. Zdecydujcie zawczasu, które psy zabrać na wyprawę. Przygotować również wcześniej sprzęt do zadania specjalnego, o którym piszę dalej.**

● **POROZUMIEĆ się z miejscowym leśniczym, gajowym lub z nauczycielem biologii w sprawie możliwości dokarmiania w czasie wyprawy ptaków i zwierzyny w lesie lub na polu. Postarać się wcześniej o odpowiednią karmę.**

I OTO — DZIEŃ WYPRAWY. Poranne zimowe słońce przedarło się przez chmury. Będzie pogoda! Cały sznur sanek gotowy do drogi. Ich „woźnice" zgromadzili się wokół szefa grupy. Ten wtajemnicza wszystkich w szczegóły marszruty do Bieguna. Szykuje się wspaniała zabawa! Wszyscy są już znów na swoich miejscach. Napinają się uprzęże sań... Narciarze mocniej wbijają kijki w śnieg... Szef podnosi rękę, wydaje długi okrzyk poganiaczy psich zaprzęgów i cała karawana szparko rusza z miejsca. Na przedzie biegnie poszczekując pupil wyprawy, owczarek Kazan. Droga wśród śniegów nie jest łatwa. To przecież nie szosa. Szos będziemy unikać. Trasa prowadzi przez wertepy i bezdroża, na przełaj, tak jak wędrują prawdziwi badacze Arktyki. Wkrótce zmęczenie daje o sobie znać. Acha, to znaczy, że czas zrealizować zadanie pierwsze:

Zadanie pierwsze:

BIWAK NA ŚNIEGU

To zadanie składa się z dwóch części: z wybrania odpowiedniego miejsca i urządzenia samego biwaku oraz z przygotowania i zjedzenia „polarnego" posiłku.

● **MIEJSCE NA BIWAK wybierzemy takie, by dawało nam osłonę od wiatru, a więc wśród gęstych krzewów, w pobliżu lasu (ściana drzew), w pasterskim szałasie, a w ostateczności w kotlince, gdzie wiatr najmniej dmucha. Prawdziwi polarnicy nie siadają nigdy bezpośrednio na śniegu. Nam też do siedzenia posłużą sanki, ławeczki z nart opartych o plecaki, pniaki ściętych drzew itp. Na biwaku, w odległości przynajmniej 100 metrów od lasu, można rozpalić ognisko. Ma ono spełnić potrójne zadanie: ogrzać członków wyprawy, umożliwić wysuszenie zmoczonych rękawic i wreszcie — pozwolić na przygotowanie posiłku.**

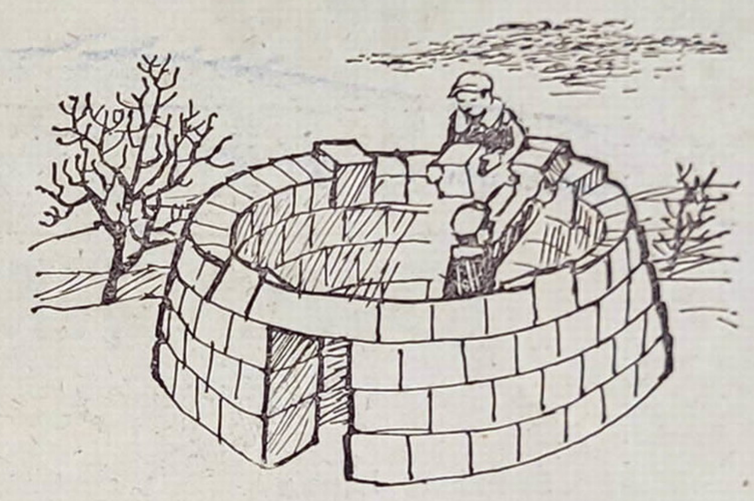

● **POSIŁEK POLARNIKÓW składa się przeważnie z konserw. My nie musimy ich używać. Ale też przygotujemy posiłek ciepły, bo taki jest najzdrowszy w czasie zimowej wyprawy. Tu jest olbrzymie pole dla pomysłowości. Podaję tylko niektóre przykłady:**

— odgrzać nad ogniskiem na patelni zabrane z domu kanapki z wędliną

— upiec na patykach kawałki kiełbasy lub jabłka

— odgrzać przywieziony ze sobą domowy bigos świąteczny

— zagotować herbatę i zjeść do niej zabrane z domu ciasto.

A jeśli nie będziemy palić ognia, warto koniecznie zaopatrzyć się w gorącą herbatę w termosach. Warto też zabrać cukierki lub cukier w kostkach — doskonale regenerują siły.

PO ODPOCZYNKU — W DROGĘ! Zimowy dzień jest krótki. A my przecież mamy jeszcze wiele do roboty. Czeka na nas bowiem

Zadanie drugie:

DZIKIE ZWIERZĘTA

Poprzedniej zimy stada zajęcy wchodziły do wiejskich zagród. Były zgłodniałe i przemarznięte. Dzikie ptactwo padało tysiącami nie mogąc wygrzebać spod śniegu pożywienia. Nie dopuśćmy do tego! Niech i nasza wyprawa pomoże dzikim zwierzętom w przetrwaniu zimy.

● **RAZEM ZE SŁUŻBĄ LEŚNĄ. Może uda się nam nawiązać kontakt z leśniczym lub gajowym. Oni wiedzą najlepiej, jaką karmę należy wykładać i w jakich miejscach. Zależne to jest przede wszystkim od rodzaju zwierzyny, jaka występuje w waszej okolicy. Może wraz ze służbą leśną weźmiecie udział w wykładaniu karmy albo kawałów soli na tzw. lizawki. A może uda się wam zaobserwować przychodzące do karmników zwierzęta: sarny, zające, kuropatwy...**

● **LEŚNA STOŁÓWKA. Można ją zrobić wszędzie, nawet bez porozumiewania się ze służbą leśną. Weźcie ze sobą kilka starych skórek od słoniny z resztkami tłuszczu. Zawieście je na sznurkach, jak zabawki na choince, na gałązkach krzewów. Sikorki będą wam bardzo wdzięczne za ten przysmak. Również pod nisko opuszczonymi gałęziami świerków możecie wyłożyć wiązki siana. To będzie stołówka dla zajęcy. A w wolnych od śniegu miejscach możecie wysypać dla kuropatw tzw. poślad — odpadki ziaren zbóż pozostałe przy młocce.**

TERAZ „ZABIJAMY" RĘCE dla rozgrzewki i już prosto — ku Biegunowi. Sprawdzamy trasę na mapie szefa wyprawy — wszystko się zgadza. A więc — to ten pagórek przed nami.

Zadanie trzecie:

BIEGUN

Gratuluję wam, osiągnęliście cel wyprawy! Ale na Biegunie nie zabawimy długo — zbliża się polarna noc. Każda chwila jest droga.

● **ZATYKAMY PROPORCZYK — tak jak to robili zdobywcy Biegunów. Może to być proporczyk wymalowany na papierze, przymocowany do kija. Gromkim „Hurra!" czcicie ten uroczysty moment.**

● **TRWAŁY ŚLAD. Do plastykowego woreczka włóżcie spisany akt zdobycia Bieguna. Niech będzie tam podana data wyprawy,**

GUNA

nazwa waszej grupy i wasze imiona lub pseudonimy. Woreczek z tym dokumentem dobrze zabezpieczcie gumką, by nie dostała się do niego wilgoć i zakopcie w ziemi lub ukryjcie między kamieniami na biegunowym pagórku. Wrócicie tam latem, by odszukać schowany woreczek i

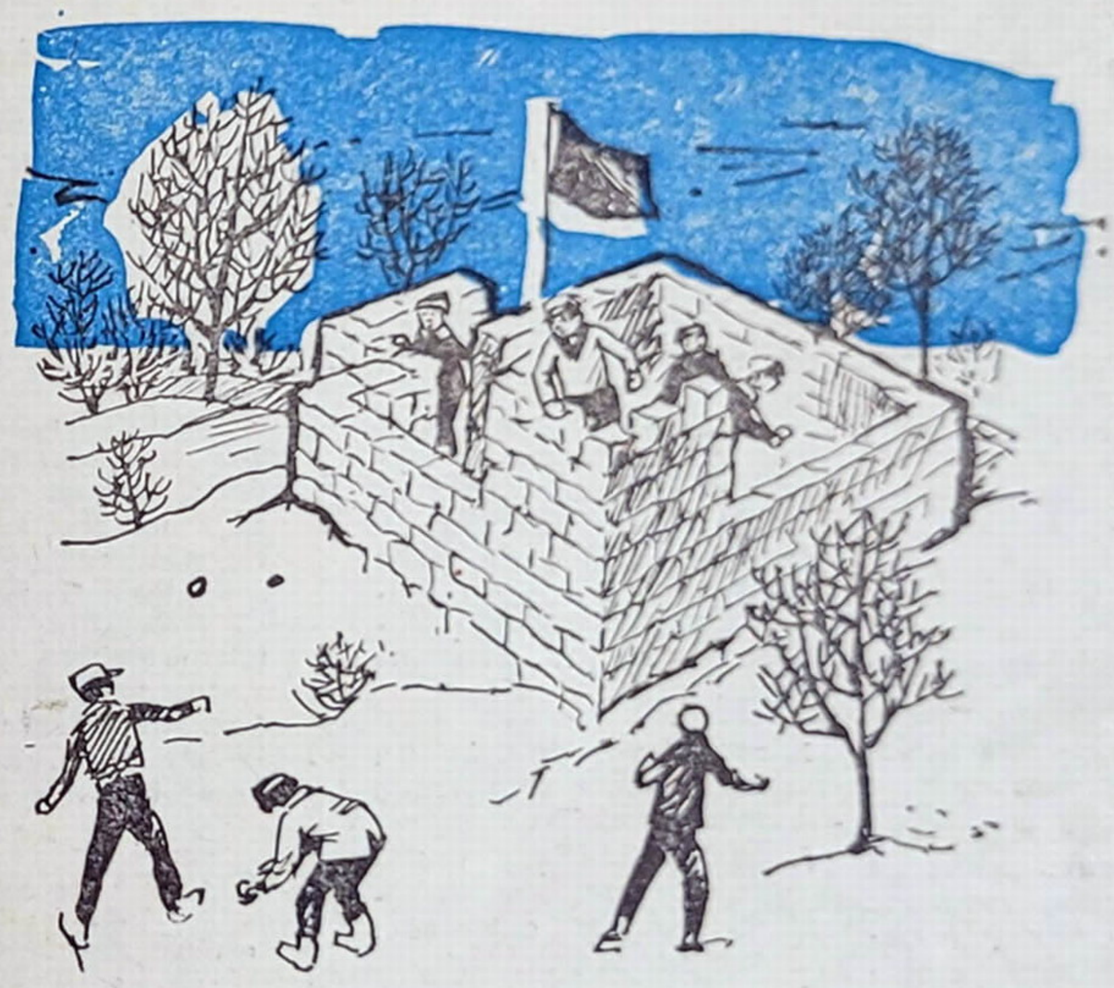

przypomnieć sobie zimowe przygody.

TERAZ JUŻ WRACAMY. Trzeba koniecznie przed zapadnięciem zmroku powrócić do naszych siedzib. Ale przedtem radzimy jeszcze poznać nasze

Zadanie specjalne:

ESKIMOSKIE IGLOO I ŚNIEŻNA FORTECA

Jeżeli po zdobyciu Bieguna macie jeszcze do wieczora dość czasu,

— jeżeli inaczej zaplanujecie marszrutę wyprawy i będziecie mieli więcej czasu na biwaku —

wykonajcie zadanie specjalne — zbudujcie eskimoskie igloo lub śnieżną fortecę.

Budowa igloo. W naszych warunkach konieczne jest użycie do budowy specjalnie produkowanych cegieł ze śniegu. Sposób ich przygotowania widzicie na rysunku. Śnieg ubija się w specjalnej drewnianej formie — pudełku bez wierzchu i dna. A sposób układania igloo z cegieł pokazuje następny rysunek. Wszystkie szpary w śniegowym murze dokładnie wypełniamy śniegiem. Gdy chwyci mróz, możemy igloo obłać z wierzchu wodą, uzyskamy wtedy trwałą budowlę, która przez całą zimę może nam służyć do zabaw.

Śnieżna forteca. Budujemy ją z takich samych cegieł jak eskimoski domek. Gotową fortecę widzimy na rysunku. Doskonale nadaje się ona do wszelkiego rodzaju zimowych gier, a szczególnie do walki na śnieżki.

TO JUŻ KONIEC OPERACJI „WYPRAWA DO BIEGUNA". CZEKAM NA MELDUNKI OD SZEFÓW GRUP „ZIMY NIEUSTAJĄCEJ PRZYGODY". Meldunki powinny zawierać również rysunki proporczyków, jakie grupy zatknęły na Biegunie. Trzy najbardziej pomysłowe wzory proporczyków zamieszczę w „Świecie Młodych" z podaniem, od jakich grup pochodzą. Piszcie do mnie:

JAN STYKOWSKI
„ŚWIAT MŁODYCH"
WARSZAWA
MOKOTOWSKA 24
„WYPRAWA NA BIEGUN"

PYTAJ - ODPOWIEMY

Kiedy po raz pierwszy orzeł pojawił się na żołnierskich czapkach i drzewcach wojskowych sztandarów? — pyta ANDRZEJ BRONOWSKI z Kielc.

HISTORIA ŻOŁNIERSKIEGO ORŁA

ORŁY jako wojskowe godło — wprowadził do legionów rzymskich konsul Mariusz. Orzeł rzymski miał postać czuwającą, bez rozpostartych skrzydeł. Rzymskie orły przeniósł w wiele lat później do wojskowych sztandarów cesarz Francuzów — Napoleon.

Polskie oddziały regularne, powstańcze i partyzanckie formujące się w różnych okresach historycznych, charakteryzował m.in. orzeł o najbardziej różnorodnych kształtach. W wieku XVIII misternie zdobione blachy grenadierów gwardii orzeł obsiadł na stałe. Historycy są zdania, że właśnie wtedy po raz pierwszy orzeł uzyskał w naszych siłach zbrojnych prawo obywatelstwa.

Gwoli przypomnienia jednak odnotujemy, co pisał kronikarz, Jan Długosz: — I znalazł był Lech na wysokich i wyniosłych drzewach orle gniazdo. Przeto obrządkiem starodawnym odprawił modły. A miejsce otrzymało imię Gniezno...

Jako godło panującego pojawił się orzeł w Polsce w XII wieku, za Władysława Wygnańca. Ale orła w koronie królewskiej umieścił po raz pierwszy na swej pieczęci Przemysław II. Dopiero za panowania Władysława Łokietka i następnie Kazimierza Wielkiego stał się wizerunek orła oficjalnym godłem państwowym. Wtedy to też zdobić on począł tarcze i zbroje co przedniejszego rycerstwa polskiego.

Orła siedzącego przejęły z wojsk napoleońskich wojska Księstwa Warszawskiego. Nie było tu jednak reguły; poszczególne rodzaje wojsk charakteryzowały najbardziej dowolne elementy.

Wreszcie wojska Królestwa Kongresowego: orzeł staje się powszechnie obowiązującym emblematem wszystkich rodzajów broni i wojsk. Warto dodać, że typ orła żołnierskiego, pozostającego w służbie w czasach nam współczesnych, wzorowany jest w poważnym stopniu na orle z czasów Królestwa Kongresowego.

Pierwszym orłem odrodzonego Ludowego Wojska Polskiego był w 1943 r. tak zwany orzeł kościuszkowski. Orzeł żołnierski, noszony w krótkich odstępach czasu przez żołnierzy I Korpusu i 1 Armii WP był aż dziewięciokrotnie modyfikowany. Łącznie od 1943 roku wizerunek orła poddawany był korekturze aż 77 razy.

Cóż różniło orła wojskowego od cywilnego? Przede wszystkim kształt, a ponadto, że żołnierski orzeł połączony bywał tarczą, na której niegdyś wypisywano numery poszczególnych pułków.

Orzeł Polskiej Marynarki Wojennej ma w tarczy kotwicę, lotnictwa — okolony jest husarskimi skrzydłami. Kiedyś orzeł pułkowy, umieszczany na drzewcach sztandaru, ozdobiony był krótkimi bławatami chorągwianymi. Czuwające srebrne orły i dzisiaj zdobią drzewce pułkowych sztandarów.

Skrupulatni historycy dowodzą, że istniało w naszej historii blisko 600 wersji orła. (jk)

Foto: Andrzej Marczak

ToMiK

● **Dziś dalszy ciąg naszej tomikowej dyskusji na temat przypuszczalnego wyglądu istot rozumnych z innych planet. Wielu z Was wypowiedzi swoje (tekstowe i rysunkowe) traktuje absolutnie dowolnie, bez próby uzasadnienia, dlaczego właśnie tak a nie inaczej przedstawia „swego" Kosmitę. Nie mam zresztą z tego powodu do Was żalu, gdyż, prawdę powiedziawszy, nie zachęcałem do pisania rozpraw naukowych na ten temat. Jestem więc mile zaskoczony listem Ewy Rydzyńskiej, która swoją wypowiedź potraktowała serio. Ewa pokusiła się o naukową analizę przypuszczalnego wyglądu Kosmitów. I to jest właśnie cenne w jej wypowiedzi.**

Nie oceniam jeszcze dyskusji, ponieważ ciągle otrzymuję nowe wypowiedzi. Zrobię to prawdopodobnie na początku przyszłego roku.

Wszystkim sympatykom ToMiK-a składam serdeczne życzenia świąteczne i noworoczne.

Prezes ToMiK-a
ST. BOROWIECKI

Jak wyglądają KOSMICI?

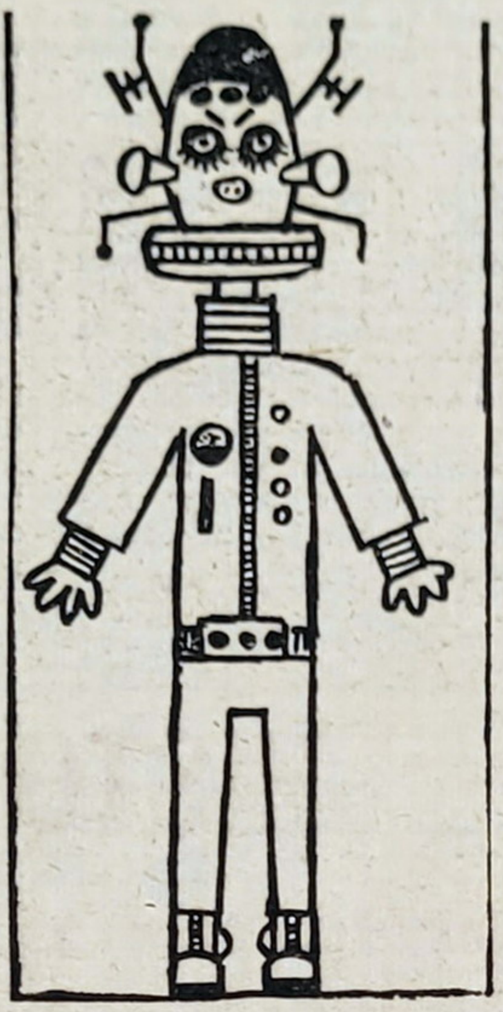

Istota rozumna

Myślę, że na pewno na jakiejś planecie istnieje życie. Jak sobie wyobrażam mieszkańca innej planety, widać na zamieszczonym rysunku. Oczywiście nie musi być on taki sam jak mój, ale uważam, że będzie do niego zbliżony wyglądem.

Andrzej Rogowski
Wrocław
ul. Zaporowska 70/9.

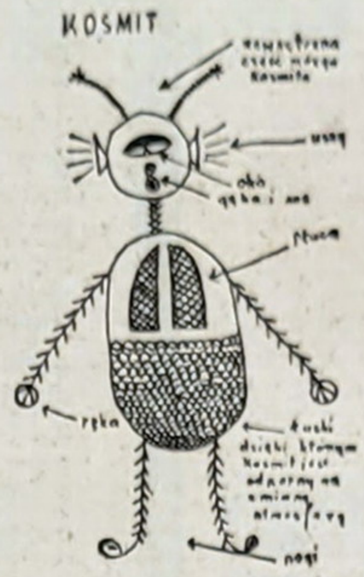

Tak wyobraża sobie Kosmitę Ewa Odelska z Suchedniowa, pow. Kielce.

● Jest to mieszkaniec czwartego wymiaru, który znalazł się u nas przez przypadek, a właściwie przez złośliwość swoich przyjaciół z Instytutu Zastosowań Sprężyn (nie działających) w fabrykach latających rowerosprężyn. Po zmaterializowaniu się w naszym wymiarze stwierdził, że najbardziej smakują mu ośle uszy w zeszytach i klekay zrobione przez uczniów na miejscach nieodrobionych wypracowań klasowych i domowych z lektury obowiązkowej.

Uwaga! Rozmnaża się przez pączkowanie na widok oceny niedostatecznej. Tylko bardzo skuteczna walka z nim (w dużych ilościach staje się niebezpieczny!) i z „pokarmem" każe mu wrócić do siebie do domu.

On bardzo płacze za mamą. Nazywa się: Lewoskrętnie zwichnięty gryzipiórek klasówkowo-zeszytowy lub: Wszystkowiedzący skrętak sprężynowy.

Lucyna Panasiewicz
kl. I b IV LO
Toruń

LEWOSKRĘTNIE ZWICHNIĘTY GRYZIPIÓREK KLASÓWKOWO-ZESZYTOWY

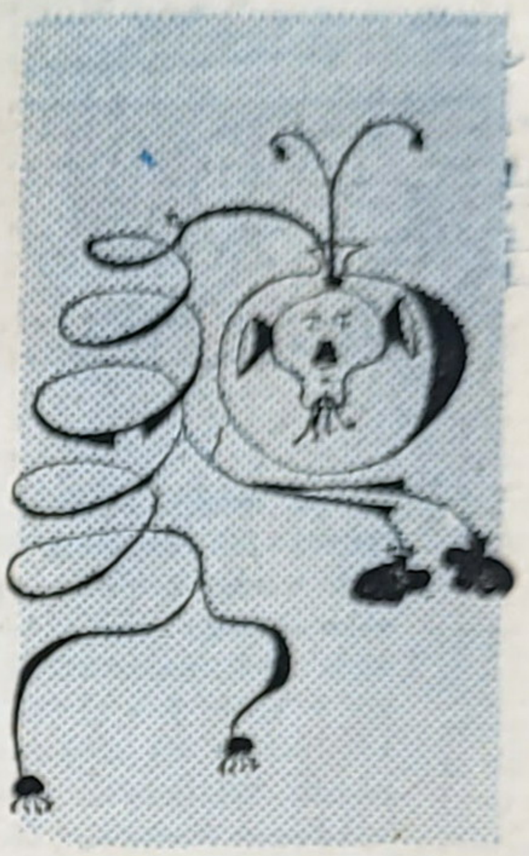

Jacy oni są?

Kosmici żyją w innych warunkach niż my i nie muszą mieć sylwetek podobnych do ludzi. Jednak zakładając, że są to istoty wysoko rozwinięte, wnioskuję, że muszą one posiadać pewne narządy.

Oczywiście każda istota myśląca ma „mózg". Jedynie przecież swym narządem myślenia człowiek różni się od zwierząt. W przeciwieństwie jednak do człowieka mózg może się znajdować w środkowej, a nawet dolnej części ciała Kosmity.

Każdy osobnik, aby mógł wykonywać różne czynności, musi posiadać giętkie kończyny lub odnóża zakończone „palcami". Bez nich cywilizacja nie byłaby zdolna ulepszać, bronić się przed wrogami i budować urządzeń. Istniałaby tylko w nadzwyczaj sprzyjających warunkach i prawdopodobnie szybko wyginęłaby.

Kosmita powinien mieć także narządy ruchu, przystosowane do warunków istniejących na danej planecie. Gdyby większość globu pokrywała woda, to zamieszkujące go istoty posiadałyby narządy ruchu umożliwiające poruszanie się po powierzchni lub w głębinach mórz. Istnieje także możliwość, że każdy osobnik jest zdolny do poruszania się w wodzie, po jej powierzchni, po lądzie i w powietrzu.

Aby mogło istnieć zorganizowane społeczeństwo i rozwijająca się cywilizacja — jednostki muszą się porozumiewać między sobą i przekazywać innym swoje wiadomości. Ktoś mógłby powiedzieć, że można porozumiewać się na piśmie lub innym sposobem, ale po zastanowieniu się sam obaliłby tę hipotezę. Za przykład może posłużyć nasza ziemska cywilizacja — człowiek od powstania swego gatunku porozumiewał się ze swymi współplemieńcami, chociaż nie znał pisma, a wymyślił je dopiero w późniejszym okresie rozwoju. Istnieje kilka sposobów porozumiewania się i jednym z nich pewnie posługują się te nieznane istoty:

1. *za pomocą dźwięku (tu będą potrzebne narządy mowy i słuchu).*
2. *za pomocą fal radiowych (potrzebne narządy zdolne odbierać i wysyłać te fale),*
3. *za pomocą zmian temperatur (narząd przypominający czuły termometr i wysyłający promienie cieplne),*
4. *„na wyczucie" (zdolność wyczuwania),*
5. *zdolność odczytywania myśli,*
6. *przez zapach (węch i zdolność wytwarzania zapachów).*

Kosmici nie muszą mieć układu pokarmowego oraz krwionośnego, chociaż jest możliwe, że je posiadają. Pokarm mogą pobierać wprost z otoczenia i w tym przypadku oba te układy nie są potrzebne.

Płuca są sprawą dyskusyjną. Człowiek nie może się bez nich obyć, lecz nie wyklucza się możliwości, że w innych warunkach żyją stworzenia nie posiadające ich (np. ryby).

Pewne jest, że istnieją istoty z narządami, których my nie znamy.

Ewa Rydzyńska
Warszawa 33
ul. Francuska 34 m 8

„MÓJ" KOSMITA

● **Zainteresowała mnie dyskusja na temat Kosmitów. Jestem jednym z wielu, którzy uważają, że życie organiczne istnieje również na innych planetach. Sądzę, że na innych planetach oddalonych od nas o kilka tysięcy lat świetlnych żyją istoty rozumne. Istoty te podobne są do ludzi. Wzrost ich osiąga 2 m. Nie odżywiają się takimi pokarmami jak my; żyją dzięki przyswajaniu przez ich organizm promieni wytwarzanych przez sztuczne słońce. Istoty te nie posiadają nosa i jamy gębowej,**

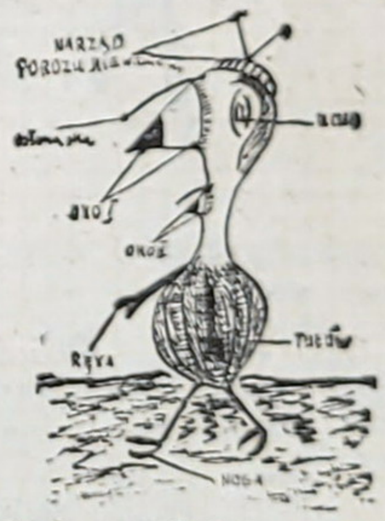

lecz posiadają parę oczu. Oko górne służy im do patrzenia w dzień, a drugie — dolne — do patrzenia w nocy i na duże odległości. Mózgoczaszka jest bardzo rozbudowana i duża. Na głowie mają czułki (anteny), wysyłające fale radiowe, za pomocą których porozumiewają się między sobą. Myśli swe przekazują na odległość. Po dokładnym przeanalizowaniu można przypuszczać, iż te istoty były kiedyś ludźmi, lecz uległy ewolucji wstecznej i zredukowaniu pewnych narządów.

Leszek Witkowski

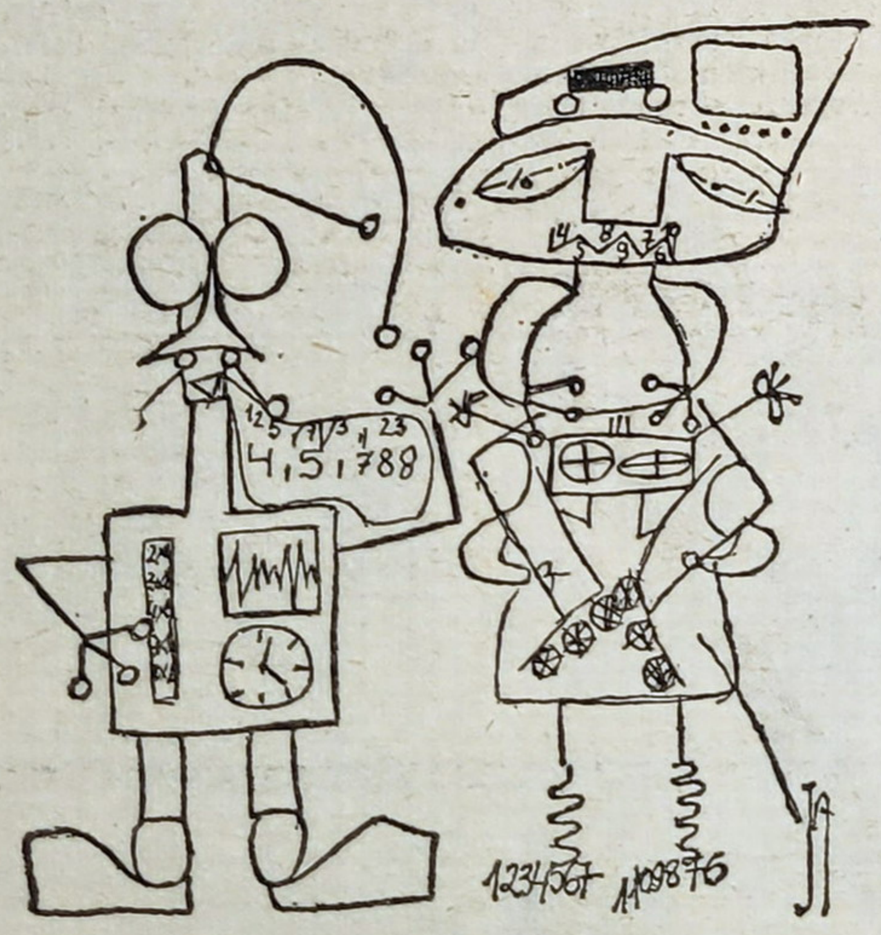

DROGI ToMiK-u

Piszę do Ciebie z innej planety, z „Tomona", która w naszym układzie gwiazdowym 4 N została tak nazwana na Twoją cześć. Ja w imieniu Tomonów i Tomonek pozdrawiam Ciebie i zapraszam do nas.

Tomon roku świetlnego 2383.

Hanka Tomonka

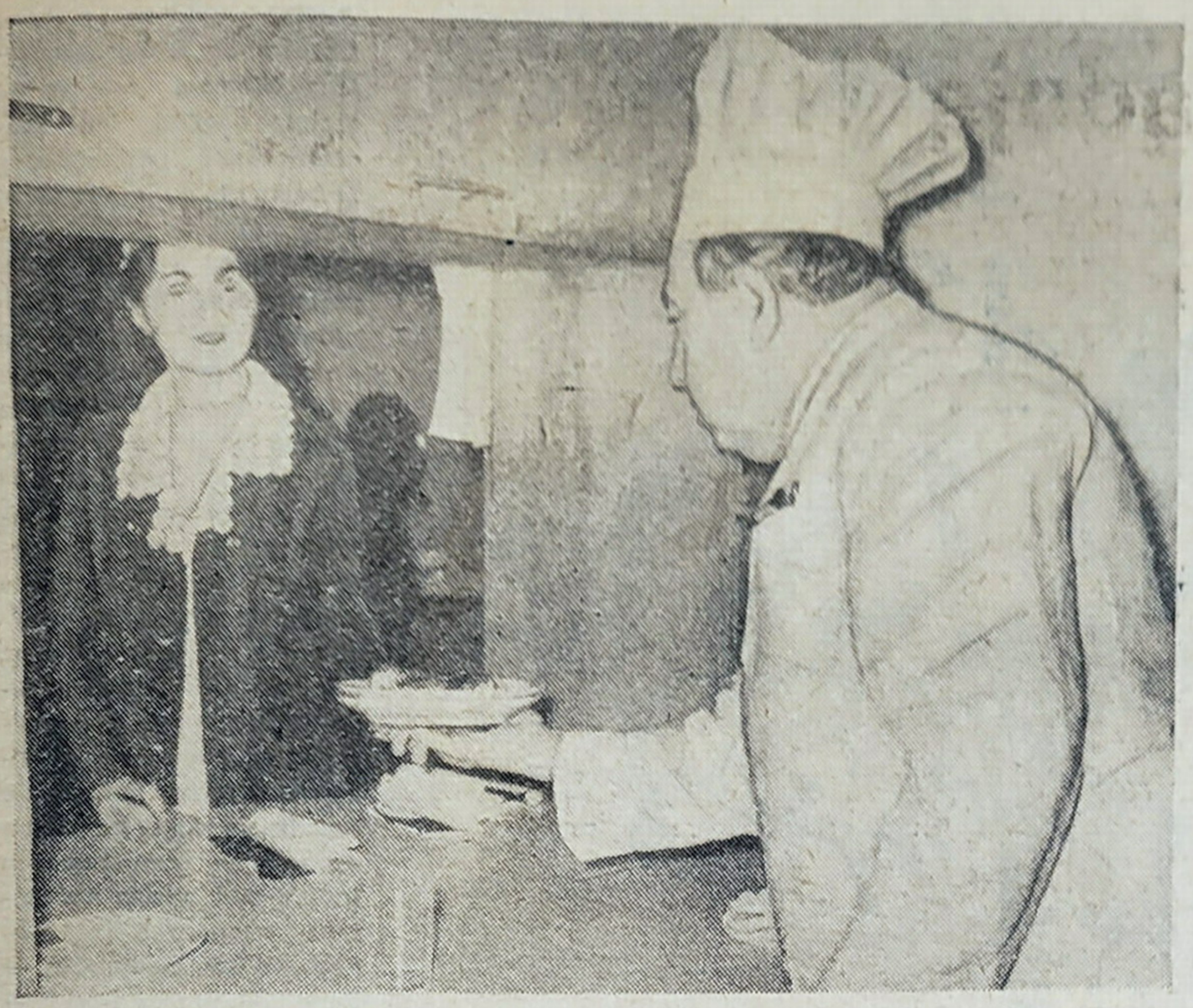

Ostatni moment. Pani kelnerka z uśmiechem zaniesie na salę smakowitą potrawę.

Przysmaki PANA Cupera

Ulicami Szydłowca ciągną wozy z towarem. Ludzie wracają z targu. A my przyjechaliśmy prosto z Warszawy i szukamy starej karczmy. Tutaj bowiem, gdzieś w Szydłowcu, pracuje mistrz światowej nieomal sławy. Nie, nie śpiewa piosenek, nie rzeźbi, jest po prostu znakomitym kucharzem.

Zaczepiam przygodnego przechodnia, pytam o karczmę. Rozmówca kiwa przecząco głową. Ogarnia mnie zwątpienie — znajdziemy mistrza, czy nie?

— Proszę pana, a czy nie zna pan pana Cupera? Przechodzień uśmiecha się, wskazuje duży nowoczesny budynek, na którym widnieje napis „Biesiada".

Co za licho kazało mi szukać starej przydrożnej karczmy, otoczonej wysokimi drzewami, stojącej przy szosie? I to w sytuacji, gdy dosłownie dzieli nas pięć kroków od królestwa mistrza. A moze stare karczmy zostały jedynie w powieściach?

Ale oto i „Biesiada".

Właśnie niedawno mistrz Cuper wrócił z Wenecji, gdzie brał udział w kongresie gastronomów. Przywiózł stamtąd cenne trofeum — honorowy puchar gastronomii włoskiej.

Siedzimy z p. Cuperem w sali zwanej ogólną. Przy sąsiednich stolikach zwykli biesiadnicy.

Mistrz wspomina Wenecję. Przed naszymi oczami pojawia się ogromna, odświętnie przybrana sala, długie stoły przykryte śnieżnobiałymi obrusami, a na nich najlepsze z najsmakowitszych potraw. Właśnie p. Cuper częstuje panie... naleśnikami. Próbują, biorą następne porcje na talerzyki. Otaczają go w koło. Wznoszą ręce do oklasków, któraś z pięknych pań głaszcze mistrza po policzku. „Bono, bono!" Specjał robiony w tajemnicy robi prawdziwą furorę.

Szef szybko nam wyjaśnia: — naleśniki zrobione zwyczajnie, ale gdy włoży się je do piecyka i na wierzchu posypie cukrem —w niczym nie przypominają tych, które zwykle się je. Nazywam je — naleśnikami palonymi.

Już mam zamiar pytać o dalsze wrażenia, gdy obok naszego stolika przesuwa się bezszelestnie śliczna młodziutka dziewczyna. W dłoniach trzyma talerz, a na nim patelnię; rozchodzi się smakowity zapach. Jeszcze skwierczy gorący tłuszcz. Kajtek mruga okiem, pewnie chce powiedzieć, że co tam Wenecja, skoro tu, w małym Szydłowcu, goście jedzą równie smakowite potrawy.

Wydaje mi się wręcz niemożliwe, aby każda potrawa wyglądała tak, jakby specjalnie była przyrządzana dla jednego gościa. Tego jeszcze nie spotkałam. Zadziwiające!

Zadaję szefowi podstępne pytanie: — A co się panu nie udało?

Szef uśmiecha się: — Kiedyś do gotowego prawie sernika dałem sok z cytryny, zamiast zetrzeć tylko skórkę. No i rezultat wiadomy. Ale to było dawno...

Rzeczywiście dawno, bo p. Cuper pracuje już... 80 lat; zaczyna pracę o 7 rano, a kończy o 23.00 wieczorem. 16 godzin na dobę, czyli tutaj jeden dzień liczy się podwójnie. W Szydłowcu jest już 5 lat, wcześniej karmił pracowników Turoszowa, a jeszcze wcześniej pracował na Śląsku, w 1948 kucharzył na statku m/s „Beniowski".

Zaczynał pracę w małym miasteczku Końskie jako pomocnik kucharza, w 1927 roku. Palił w piecach, sprzątał kuchnię, podawał do stołu. Podpatrywał swego mistrza — p. Dzierzgowskiego, którego pamiętają może jeszcze nasze babcie.

Dziś, tu właśnie, do „Biesiady" — restauracji prowadzonej przez P. S. „Samopomoc Chłopska" — przychodzą uczniowie na praktykę. Mistrz przeszkolił już prawie 280 młodych kuchmistrzów.

Po sali krążą dziewczęta-kelnerki. Uśmiechnięte, ładnie ubrane. Pan Cuper chwali francuską kuchnię, w której używa się przypraw ziołowych i jarzyn!

— No, nasza kuchnia staropolska jest też wyborna — stwierdza. Notuję przepisy, szef dyktuje spokojnie, a w chwilę później kategorycznie oświadcza: „Ale kobiety nie potrafią dobrze gotować. Jeszcze takiej nie spotkałem..."

Fotoreporter uśmiecha się promiennie — wiadomo, mężczyzna. Rezygnuję ze słownej bitwy dopiero po zjedzeniu karpia w śmietanie. Fantazja, nie na darmo sposób przyrządzania sosu jest niezgłębioną „tajemnicą" szefa.

Pocieszam się, że Wenecjanki też nie potrafią gotować... Ale za to my mamy u siebie mistrza, który za pomocą wybornych palonych naleśników i innych specjałów rozsławił nasz kraj.

ROMA JABŁOŃSKA

Foto: Kajetan Adamowski

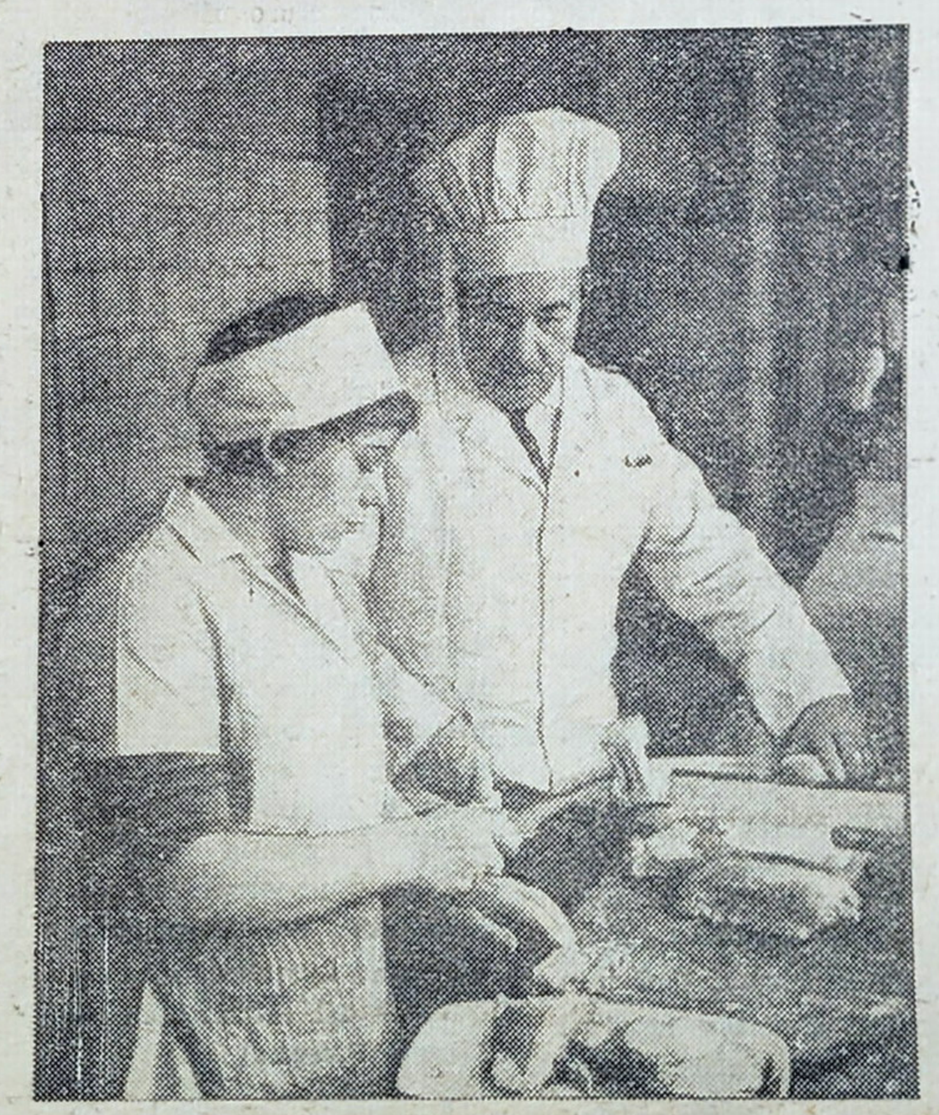

Stasia Szymkiewicz ukończyła ZSZ. Obecnie jest na stażu. Ją jedną szef czasem chwali, chociaż często zwraca uwagę. Mistrz jest bowiem bardzo wymagający.

Morski wąż — legenda czy prawda?

SPRAWA istnienia węża morskiego wciąż jeszcze nie schodzi z łamów pism popularnonaukowych. Ostatnio w radzieckim czasopiśmie „Technika Młodzieży" ukazał się artykuł E. Jaszczenki na temat informacji jakich dostarczył pilot helikoptera radzieckiej flotylli rybackiej, łowiącej na antarktycznym obszarze Oceanu Indyjskiego.

Otóż pilot ten z wysokości 30 metrów zauważył na powierzchni morza olbrzymie zwierzę długości około 15 metrów, o grzbiecie metrowej szerokości, barwy żółto-brązowej. Po kilku minutach obserwacji pojawił się drugi podobny wąż, poruszający się po powierzchni wody ruchem wijącym.

Niektórzy uczeni uważają, że chodzi tu po prostu o afrykańskie lub azjatyckie pytony, których długość sięga niekiedy ponad 10 metrów. Na poparcie tej tezy przytacza się przykład z wyspy Krakatau. Otóż po wulkanicznym wybuchu w 1883 roku zginęły tam wszystkie zwierzęta. Pierwszą zaś żywą istotą, którą zobaczono na wyspie był właśnie olbrzymi pyton. Zdołał on przepłynąć 60 kilometrów morzem — przestrzeń dzielącą Krakatau od Jawy.

Inni specjaliści sądzą, że owe legendarne już węże są olbrzymimi piskorzami, dwa razy już zidentyfikowanymi na Oceanie Spokojnym przez amerykańskiego nurka i francuskiego żeglarza. Spotyka się też opinie o przetrwaniu w głębinach oceanów rybokształtnych gadów sprzed 200 milionów lat, które podobno pojawiają się niekiedy na powierzchni wód. (jk).

Życiu w oceanach grozi zagłada

„OCEANY SĄ BARDZO CIĘŻKO CHORE, KONAJĄ"... Oto dosłowna wypowiedź wybitnego badacza głębin oceanów Jacquesa Yves Consteau po zakończeniu ekspedycji morskiej dookoła świata trwającej ponad 3,5 roku.

Skażenie wód oceanicznych jest już tak duże, że życiu flory i fauny morskiej grozi zagłada.

Yves Consteau wezwał do wprowadzenia surowych przepisów w celu ochrony wód oceanicznych, stwierdzając, że zagłada życia w oceanach może spowodować zagładę ludzkości.

Jest to opowieść o żołnierzu powstania kościuszkowskiego, którego los związał z Indianami walczącymi przeciw amerykańskim kolonizatorom, o prawo do ziemi swoich ojców.

BIAŁY BRAT Skaczącej Pumy

Ryszard Kos był jednym z żołnierzy Insurekcji Kościuszkowskiej, którzy po klęsce powstania, uchodząc przed prześladowaniami, znaleźli się w 1797 roku w Ameryce Północnej. Różnie układały się losy polskich emigrantów na tym dalekim kontynencie. Widać to szczególnie wyraziście na przykładzie właśnie Ryszarda Kosa. Nie każdego jednak losy zamknęły się tak romantyczną kartą jak tego właśnie Polaka.

Kos początkowo był robotnikiem portowym w New Yorku, potem traperem, wędrownym kramarzem, gońcem leśnym na służbie Stanów Zjednoczonych, a później przeszedł na stronę Indian bohatersko broniących swych terytoriów przed białymi kolonizatorami. Polak przypadkowo uratował życie wodza Szaunisów — Tecumseha (Puma Gotowa do Skoku), zaprzyjaźnił się z nim i... został nie tylko jego białym bratem, ale i osobistym doradcą.

Tecumseh, wraz ze swym bratem bliźniakiem — Tenskwatawą, mając u swego boku białego obrońcę sprawy Indian — Ryszarda Kosa, podjął wielkie dzieło Pontiaca: zjednoczenie wszystkich plemion indiańskich w celu wspólnej walki z wojskami amerykańskimi.

Tecumseh przeszedł do historii, jako jeden z najwybitniejszych polityków i wodzów indiańskich Amerykański historyk, Brown, tak scharakteryzował sylwetkę tego dzielnego Szaunisa:

— Tecumseh mówiąc o sprawie zjednoczenia Indian wyzbywał się podejrzliwości, zrzucał z siebie kamienną maskę wojownika i stawał się płomiennym mówcą. Jego piękna twarz i myślące oczy świeciły dumą i pewnością siebie oraz wiarą w zwycięstwo czerwonoskórych. Jego wywody zaskakiwały trafnością oceny sytuacji. Aż dziw bierze, jak ten człowiek, siedzący w głębi puszczy nad Wabash, mógł przewidzieć konflikt zbrojny pomiędzy Anglią i Stanami Zjednoczonymi...

Dzięki tym właśnie walorom Puma Gotowa do Skoku wraz ze swym bratem Wielkim Prorokiem (Tenskwatawą) w latach 1805—1811 zjednoczył prawie wszystkie plemiona indiańskie: Szaunisów, Miamisów, Wyandotów, Lenapów, Odzibejów, Siuksów, Czarne Stopy, Seminolów, Czoktawów, Pottawatomich, Pawnisów, Czirokezów, Osedżów, a nawet Kriksów, którzy długo wahali się z przystąpieniem do wspólnego dzieła.

Tecumseh opuszczając wioskę Kriksów późną jesienią 1811 roku powiedział radzie wodzów:

— Nie wierzycie mi, nie ufacie, że zwyciężymy, że wielkie łowiska naszych dziadów i ojców znowu będą ojczyzną czerwonych plemion... Odchodzę, ale gdy przybędę do Detroit dam wam znak — tupnę nogą i ziemia zadrży. Wówczas uwierzycie i przybędziecie do Tippecanoe (główna kwatera zjednoczonych sił indiańskich — Miasto Proroka).

Przypadek zrządził, że właśnie 16 grudnia 1811 roku wzdłuż dolnego biegu Missisipi oraz przez południowe stoki Apalachów przeszło trzęsienie ziemi. Przerażeni Kriksowie patrząc na walące się wigwamy wołali: Tecumseh w Detroit! Tecumseh w Detroit!

Przepowiednia i fakt trzęsienia ziemi przyczyniły się do przejścia pod rozkazy Pumy Gotowej do Skoku nie tylko Kriksów ale i kilku innych, wahających się dotychczas plemion.

Mobilizacja i ruchy plemion indiańskich zaniepokoiły Amerykanów. Generał Harrison z dobrze uzbrojoną armią ruszył na obóz Tecumseha. Pech sprawił, że w tym czasie Tecumseh znajdował się poza obozem. Amerykanie zaatakowali Indian i zrównali z ziemią obóz nad rzeką Tippecanoe.

W kilka dni później wybuchła wojna między Stanami Zjednoczonymi a Kanadą. Tecumseh wraz ze swym polskim doradcą Ryszardem Kosem przeszedł na stronę Anglików i wraz z armią Izaaka Brocka ruszył do walki przeciw Amerykanom. Po wielu zwycięskich bojach Anglicy mianowali Pumę Gotową do Skoku generałem. Niemałą rolę w tej wojnie odegrał też kościuszkowski powstaniec z Lubelszczyzny, Ryszard Kos.

W połowie 1813 roku szala wojny zaczęła stopniowo przechylać się na stronę Amerykanów. Armię angielsko-indiańską zaczęto wypierać z zajętych terenów. Anglicy pod wodzą Proctora okopali się i 5 września 1813 roku postanowili przyjąć ostatnią walkę. O świcie, po przygotowaniu artyleryjskim, oddziały amerykańskie ruszyły do natarcia i przełamały linie obronne Anglików. Wojska angielskie rzuciły się do ucieczki pozostawiając osamotnionych Indian pod wodzą Tecumseha okopanych w bagnach. Wódz Szaunisów — Puma Gotowa do Skoku — mimo że ranny w ramię dalej prowadził walkę z przeważającymi siłami wroga. Następny pocisk, którym został ugodzony okazał się jednak śmiertelny.

Tecumseh poległ jako bohater w obronie ziemi swoich ojców. Ryszard Kos był obok niego do ostatniej chwili. Co się potem stało z dzielnym Polakiem, który na dalekim kontynencie stał się przyjacielem i towarzyszem broni Indian walczących o swe prawa, o własną ziemię — milczą o tym kroniki, milczy historia.

O niezwykłych losach polskiego powstańca Ryszarda Kosa, o wielkim wodzu indiańskim Tecumsehu, o ich braterstwie i wspólnej walce pisze książkę lubelski pisarz, Longin Okoń. Na pewno spotka się ona z wielkim zainteresowaniem naszych czytelników, którzy w wielu listach proszą o indiańskie opowieści, informacje, szczegóły dotyczące życia dawnych i dzisiejszych Indian północnoamerykańskich.

Nie wątpię, że tego rodzaju opowieść zaspokoi w sporej mierze „indiańską" ciekawość niejednego z was.

Oprac. J. KASPRZAK

Rys. M. Majewski

PUNKT NA MAPIE

WIELKA CHEMIA

PRODUKCJA nawozów sztucznych ruszyła tu przed 40 laty. W 1939 r. wytwarzano w Tarnowie 60 ton amoniaku na dobę.

Był to początek Wielkiej Chemii. Dziś Zakłady Azotowe w Tarnowie produkują 100 rozmaitych wyrobów i zatrudniają 14 tys. ludzi. W ciągu 24 godzin kombinat wytwarza 1,5 tys. ton, nie tylko nawozów. W ciągu doby 24 pociągi przywożą tu potrzebne surowce, a wywożą cenne półfabrykaty dla przemysłu farmaceutycznego, a nawet spożywczego. Samych nawozów produkuje Tarnów 1000 ton dziennie!

Tarnów jest także dostawcą — i to jedynym w kraju — surowców dla przemysłu włókien sztucznych i tworzyw. Stąd np. wędrują do Gorzowa worki z białym proszkiem, który „zamieni się" w Zakładach Włókien Sztucznych w stylonową nitkę. (ag)

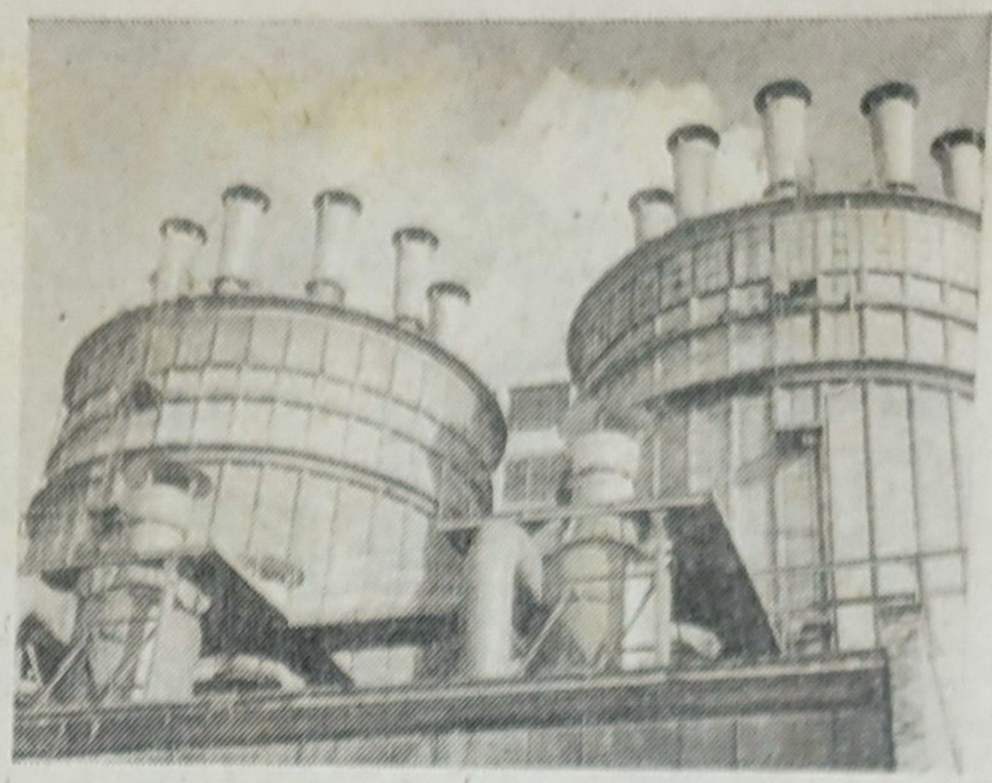

A tak wygląda wieża granulacyjna w oddziale produkcji saletry amonowej w Tarnowie.

Foto: CAF

Czy to możliwe?

o inteligencji MASZYN

CZY ELEKTRONICZNE supermózgi zagrożą człowiekowi? Amerykański specjalista od komputerów, dr Marvin Minsky, zakłada, że elektroniczne giganty przewyższą geniusz człowieka. Większość jednak uczonych odnosi się raczej sceptycznie do koncepcji Minsky'ego, uważając plany profesora za utopijne, nierealne. Tymczasem trzej badacze z Uniwersytetu Wisconsin (USA), inżynierowie: Alwyn Scott, Robert Parmentier i James Nordman ogłosili, że odkryli już tajemnicę konstrukcji **komórek nerwowych sztucznej inteligencji.** Jest to elektroniczny element konstrukcyjny nowego typu, tzw. **neuristor.** Różnorodne kombinacje połączeń takich neuristorów dają możność konstrukcji maszyny, która przewyższy kiedyś inteligencję człowieka.

Kiedy przed 20 laty po raz pierwszy skonstruowano licznik elektronowy, na który składało się wiele tysięcy lamp radiowych, uczeni żywili nadzieję, że droga do skonstruowania sztucznego mózgu ludzkiego jest już niedaleka. Tymczasem gdy wyliczono objętość maszyny zbudowanej z tego rodzaju części, nadzieje rozwiały się. Pomieszczenie, w którym mogłaby pomieścić się aparatura, musiałoby być wielkości drapacza chmur, a elektryczność uzyskana z wodospadu Niagara zdolna byłaby dopiero pokryć zapotrzebowanie na energię.

Chociaż pamięć komputera z roku na rok zwielokrotniano, jest ona nadal nieskończenie bardziej prymitywna od mózgu ludzkiego. Nawet największe automaty, o pojemności pamięciowej 10 mln jednostek pamięci, mogą imitować zaledwie mózg owada. Pojemność pamięciowa mózgu ludzkiego jest milion razy większa.

Przed 20 laty konstruktorzy komputerów nie zdawali sobie sprawy z ogromu zdolności rozdzielczej mózgu człowieka, a psychologia nie mogła im w tym pomóc.

Rozmiar zagadnienia uwidocznił się dopiero w momencie, kiedy spróbowano skonstruować maszynę, która potrafiłaby rozpoznawać napisane cyfry albo wypowiedziane głoski. Oczywiście sprawa automatycznego tłumaczenia np. literatury technicznej była daleko bardziej skomplikowana i rząd USA skreślił z budżetu dotację na badania w zakresie automatycznego tłumaczenia.

Wracając do naszego neuristora, wydaje się, że będzie on pomocny przy tego rodzaju próbach konstrukcji maszyn myślących.

Konstrukcja neuristora jest następująca: składa się on z dwu bardzo cienkich blaszek metalowych i warstwy izolacyjnej między nimi. Gdy pojawi się sygnał elektryczny na jednym końcu układu, neuristor zaczyna działać jak komórka nerwowa w ciele człowieka.

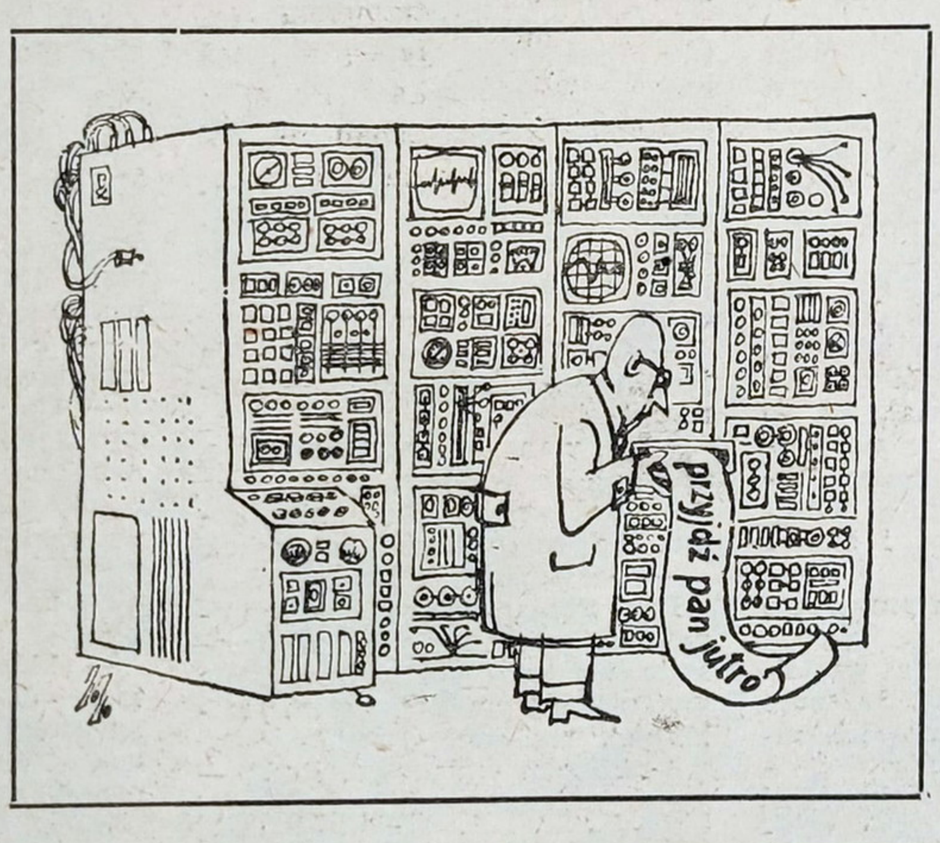

Elementy maszyn myślących nowego rodzaju pozwolą na znaczne zmniejszenie ich rozmiarów. W 1 cm sześć. sztucznego mózgu inżynierowie chcą pomieścić ok. 7 tys. neuristorów; w mózgu człowieka komórki pomieszczone są 1 000 razy ściślej — 10 milionów neuronów w 1 cm sześć. Wielkość robota myślącego, który posiadałby 10 miliardów komórek, czyli tyle ile kora mózgowa człowieka, wyniosłaby około 1 tony pojemności, a więc mniej więcej tyle, ile wynosi objętość dzisiejszych wielkich maszyn liczących.

Ponadto neuristory pracują w temperaturze zbliżonej do zera absolutnego*), a więc wymagają małych ilości energii.

Sama zresztą imponująca ilość komórek to jeszcze nie wszystko na drodze do uzyskania sztucznej inteligencji.

Potrzebna byłaby nowa właściwość sztucznego mózgu — możliwość rozwoju samego siebie, tzn. programowanie swojego rozwoju. Liczba kombinacji np. w grze w szachy jest bardzo wielka. Mimo ogromu tej liczby, rutynowani gracze dają sobie radę ze strategią gry w szachy. Nie wiemy tylko, jak dotąd, jakie procesy myślowe towarzyszą tego rodzaju rozwiązaniom logicznym. Jasne natomiast jest, że potencjał ludzkiego mózgu — to jego zdolność do uczenia się na podstawie błędów i osiągnięć. Mózg człowieka potrafi wykorzystać swoje doświadczenie i poprawić automatycznie strukturę myślenia.

Mózg podczas rozwoju — od niemowlęcia do człowieka dorosłego — sam się programuje.

Podobną samodzielność dla sztucznego mózgu chcą uzyskać uczeni: Scott, Parmentier i Nordman. Spojenia (skojarzenia) pomiędzy poszczególnymi neuristorami nie są połączone ustalonym uprzednio schematem, lecz są ruchome. Wykonane są one z materiału magnetycznego i każdy podany impuls podwyższa zdolność przewodzenia tych złączeń. W ten sposób rozwijają się powoli uprzywilejowane drogi łączenia, które kanalizują procesy myślowe w określonych kierunkach.

Tego rodzaju komputery zaopatrzone w program wyjściowy, zdaniem teoretyka maszyn myślących — prof. Minsky'ego, nieuchronnie rozwinęłyby specyficzne ludzkie właściwości: inteligencję, intuicję i świadomość.

Czy rzeczywiście tak będzie, tego dziś niestety nikt na pewno nie wie. (St. B.)

*) **Zero bezwzględne odpowiada w skali Celsjusza minus 273,15 st.: Jest to najniższa temperatura, praktycznie niemożliwa do osiągnięcia. W pobliżu zera bezwzględnego zmieniają się niektóre zjawiska fizyczne, np. opór elektryczny stopu metalowego maleje niemal do zera; występuje zjawisko tzw. nadprzewodnictwa.**

ROBOT, SYN ROBOTA

Energetyka i metalurgia, budowa maszyn i chemia, medycyna i kosmonautyka... Nie ma dziś dosłownie dziedziny, w której można by się obejść bez „mózgów elektronowych". Proces tworzenia tych skomplikowanych urządzeń pochłania jednak wiele czasu i dlatego uwagę uczonych od dłuższego czasu zaprząta problem „reprodukcji" komputerów za pomocą maszyn cybernetycznych.

Zagadnieniem tym zajmują się m. in. specjaliści Instytutu Cybernetyki Akademii Nauk Ukrainy. Przed kilku laty w placówce tej, posługując się elektronową maszyną liczącą „Kijów", skonstruowano pierwszy okaz robota zaprojektowanego przez robota. Otrzymawszy od inżynierów 5 tys. „poleceń", komputer udzielił ścisłych „informacji", które złożyły się na schemat urządzenia o nazwie „Mim".

Ukraiński Instytut Cybernetyki pracuje obecnie nad automatycznym systemem projektowania maszyn liczących. Maszyny będą nie tylko projektować, ale i budować takie automaty. (b)

Wynalazek W FABRYCE SNÓW

Barbara Tylicka — Rys. W. Lewiński — 6

No i cóż, że milion? — mówił wchodząc do pokoju i dopinając długi kąpielowy szlafrok. — Pieniądze nie mają tu znaczenia. Wynalazek jest bezcenny i ogromnie niebezpieczny. Masz pojęcie, co by było, gdyby go upowszechnić? Koniec świata! W mysią dziurę się nie schowasz, nieustannie obserwowany, makabra!

— Pan go już próbował? — trwożliwie zapytał chłopiec.

— Tak, trzeba się go bać! To diabelski instrument. Wczoraj widziałem twojego ojca jak w telewizorze. Grał zapamiętale w ruletkę w Dollywood. Trzeba było widzieć twarze tych graczy, pożerali oczami pieniądze. Szaleńcy!

— Nie, nie będziemy się ubierali, w szlafroku wygodnie — stwierdził i otworzył szafę. Wyjął z niej coś w rodzaju trąbki. Na końcu rozszerzonej tuby był wstawiony ekran. Po lewej stronie świecił rząd guziczków.

— Ostrożnie jest to instrument niezwykle czuły i delikatny. Niestety, musimy oglądać kolejno, przytknąwszy do oka. Można by go jeszcze ulepszyć, ale nie mamy czasu. Musimy ratować niewinnych ludzi.

— Tak, musimy się dziś dowiedzieć, gdzie jest Red.

— Najpierw zobaczymy, co robi ta sekta. Jestem przekonony, że są niewinni.

Pan Fabian zaczął coś manipulować przy trąbce. Podłączył ją do kontaktu, przyłożył do oka i naciskał guziczki. Ustawiał, ustawiał, a w końcu widać coś już zobaczył, bo mówił:

— Sadzą las. A teraz zbierają się na polanie. Na transparentach napisy: „Sadźmy lasy!" — „Słuchajmy świerszczy!" „Więcej świeżego powietrza i czystej wody!" „Natura nam ucieczką i ratunkiem."

— Co pan widzi? Pan pokaże, teraz ja — Mikołajek wspinał się na palce i szarpał pana Fabiana za rekaw.

— Cierpliwości, młody człowieku. Za chwilę i ty się przekonasz na własne oczy, że to są najłagodniejsi i najzacniejsi ludzie pod słońcem. Nie, żadnych chłopców w tym tłumie nie ma. Sami dorośli, a nawet większość starych. No masz, popatrz — przystawił trąbkę do oka Mikołajka.

Ojej, pan widział, ile tu znajomych? O, jest nasz pan od historii. I żona Protazego! Ojej, a za nią nasza babcia! — tu pan Fabian wyrwał trąbkę z rąk chłopca.

— Pokaż, pokaż, to niemożliwe!

— Na pewno, od razu poznałem.

—Tak, rzeczywiście. Rozdają jakieś żabki... racja, ty też masz taką!

— Jakie, jakie? — Dał mu popatrzeć. — Ja mam taką samą, babcia mi dziś rano dała.

— A tośmy babcię nakryli! Nie trzeba tylko nic mówić, Mikołajek, pamiętaj!

— Rodzoną babcię mam wydawać? A teraz będzie przemawiał nasz pan.

Pan od historii przemawiał bardzo długo. Mówił o zgubnych skutkach rozwoju cywilizacji. o ludziach, którzy w swej zachłanności i nadmiernej dbałości o materialne dobra zapominają o tym, co naprawdę jest szczęściem człowieka. Mikołajek niewiele rozumiał z uczonych słów swego profesora. tym bardziej, że słuchali go do spółki, na zmianę. Jedno wiedział już na pewno, że to nie ci ludzie porwali chłopców. Teraz to posądzenie wydało mu się wprost śmieszne: pan od historii i babcia porwali Reda. bzdura!

— Policja jest na złym tropie — stwierdził na głos.

— Bo policją kierują właściciele fabryk. Boją się, że może kiedyś ci ludzie zagrożą ich interesom.

— Jak to — Mikołajek zaczął się zastanawiać — to babcia występuje przeciwko ojcu?

— No, niezupełnie. Babcia jest tylko zwolenniczką sekty, może dlatego, że kiedyś wychowała się na wsi. Lubi przyrodę i, trzeba przyznać, ma nieco inny światopogląd niż twój ojciec. Nie wierzy w wartość pieniądza, bardziej ceni ludzi, wyżej stawia rozsądek niż pustą wiedzę.

— A co to pusta wiedza?

— Jakby ci tu powiedzieć... kiedy ktoś się uczy po to tylko, żeby wiedzieć. Tak sobie, sztuka dla sztuki. a nie bardzo wie, jak wykorzystać wiedzę dla dobra ludzi.

— Acha — mruknął Mikołajek, ale tak naprawdę to w dalszym ciągu nie bardzo rozumiał. — Zobaczymy lepiej co z Redem, sektę mamy już z głowy — przypomniał sobie obietnicę daną Natce.

— Może to nie być takie łatwe. Zależy jak daleko jest od nas; jeśli więcej niż 50 kilometrów, nie ręczę za dobry odbiór.

— Niech pan się postara, kochaniutki. Może go trzeba ratować — Mikołajek jak zwykle wierzył, że wszystko zależy jedynie od chęci pana Fabiana.

— Cóż ty sobie myślisz, że ja jestem wszechmocny?... — obruszył się.

— O, pan to wszystko może, żeby ojciec wiedział...

— Ani słowa ojcu, ani nikomu. To tylko nasza tajemnica.

— Oczywiście, tylko nasza.

Pan Fabian długo coś manipulował przy lunecie, aż wreszcie wpatrzył się w nią i nie wypowiadał się ni słowem. Mikołajek się zaniepokoił.

— Co pan widzi, jest Red? — pytał wspinając się na palce i wieszając się u ręki pana Fabiana.

— Coś dziwnego, dzieciaki poprzebierały się za ludzi z epoki kamienia łupanego. Popatrz, poznajesz swoich kolegów?

Teraz Mikołajek przyłożył lunetę do oka. Obraz był jakby za mgłą, ale odróżniało się postacie chłopców ubranych w skóry, a zresztą prawie nagich. Siedzieli wokół ogniska na leśnej polanie. Wśród nich, po środku, w dziwacznym stroju Tarzana znajdował się i Red.

— O, jest Red! Cóż, zapewne najęli się do filmu za pierwotnych ludzi... Ale nie widać nigdzie kamer ani reżysera... Nawet nie są zmartwieni, świetnie się bawią...

— Zbudujemy wiszący most przez rzekę i będziemy się ćwiczyć w zachowaniu równowagi — mówił Red, a oni słuchali go jak wodza. — Musimy sobie sami dawać radę w każdej sytuacji, nie potrzeba nam nianiek!

— Bez komputerów kochanych tatusiów zaplanujemy sobie przyszłość według własnego gustu, no nie? Będę stolarzem, zrobię wam meble, jakich w życiu nie widzieliście. Zbudujemy dom, wykopiemy własną studnię — wykrzykiwał mizerny chłopczyna.

— E tam, oni się zabawiają w pierwotnych ludzi, a tu wszyscy tracą głowy ze zmartwienia. Wyjechali sobie na taki urlopik...

Mikołajek oddał teraz lunetę panu Fabianowi, aby ten potwierdził jego przypuszczenia. Przestał się już niepokoić o Reda. Był przekonany, że z własnej woli oderwał się na jakiś czas od codziennego życia. Zawsze chciał założyć Bandę Tarzana — przypomniał teraz sobie Mikołajek jego projekty i marzenia.

— Wyglądają na zbuntowaną młodzież. Jakieś hasła wypisane na drzewach. Czekaj, czekaj... „Sny dla starców — my chcemy działać", „Komputer nie zastąpi człowieka!", „Rzeczy służą ludziom", „Tabakiera dla nosa, a nie nos dla tabakiery", „Nie licz na szkołę, sam się ucz!". Ale się rozpisali. Ciekawe, jak długo zamierzają się tak bawić...

Pan Fabian oddał znów lunetę Mikołajkowi. Ten nagle stał się świadkiem drastycznej sceny. Do Reda podbiegł jakiś chłopiec. Tak, Mikołajek poznaje, to jest syn właściciela firmy telewizyjnej „Kosmos", Swen. Chłopak trzymał w ręku mały tranzystorek i przerażony wołał:

— Poszukują nas, aresztują członków sekty...

— Co ty gadasz? Kto ci pozwolił wziąć do lasu tranzystor? Albo go zaraz zniszczysz, albo wylecisz z Bandy Tarzana — wykrzykiwał nad nim Red.

— Słuchaj, ale za nas siedzą niewinni ludzie! Trzeba coś zrobić...

— Mówię ci, zniszcz tranzystor! O niewinnych się nie martw, sami się obronią. Ćwicz lepiej włażenie na drzewa, bo nawet tego nie umiesz, ofiaro!

Swen zdjął okulary, przetarł oczy. Zawsze tak robi jak jest zdenerwowany. Wtedy w parku, gdy miał się mocować z Bickiem, też przecierał oczy.

— Ale heca! — powiedział Mikołajek, bo już nie mógł wytrzymać z napięcia

Swen położył tranzystor na dużym pniu, podniósł kamień i wycelował w radio. Trzask i po wszystkim.

— Grunt to decyzja, chłopie — Red klepał Swena po ramieniu. — Musimy wykonać nasz plan. Nie polecimy teraz z bekiem do mamy jak szczeniaki.

— Widział pan, jakie mają wspaniałe szałasy i wieżę dla wartownika. Co oni gotują? Jakieś korzenie... Fu, będą to jedli?

C.d.n.

OSTATNI MOHIKANIN

Opracowanie tekstu wg. J. F. Coopera

Tibor

Cs. Horwath

Rysunki

Erno

Zórad.

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji — 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Dyrektor Wydawnictwa, tel. — 28-08-13. Dział Wydawniczy, tel. — 29-25-32. Biuro Ogłoszeń — Warszawa, ul. Bagatela 14, tel. — 21-21-29. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", W-wa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna zł 12.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać można również na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" W-wa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę za zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO Nr 1-6-100024. Sprzedaż egzemplarzy numerów zdezaktualizowanych, na uprzednie pisemne zamówienia, prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Towarowa 28. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Numer indeksu — 15039.
Zam. 5442. K-80

TARCZA ZEGAROWA

Świąteczny Konkurs PZU z nagrodami

Są święta, jest choinka, są zimowe ferie. Jest sporo czasu, którego część można z powodzeniem i pożytkiem przeznaczyć na rozwiązanie zimowego konkursu PZU w domowym zaciszu, kiedy to „Burza mgłami niebo kryje, wichrów śnieżnych kłęby gna, to jak dziki zwierz zawyje, to jak małe dziecię łka...", a człowiek siedzi sobie i myśli...

Gwoli pobudzenia tego myślenia i ułatwienia trawienia świątecznych smakołyków proponujemy, co następuje:

ZADANIA KONKURSU

1. Przeczytajcie uważnie pięć fraszek oznaczonych literami A, B, C, D, E. W każdej fraszce podkreślcie rzeczowniki w pierwszym przypadku l.p. i l.m. złożone z sześciu liter. We fraszce oznaczonej literą „C" znalazł się przysłówek, który mógłby, gdyby chciał, być rzeczownikiem. Ale jakoś nie chciał... Wybaczcie mu to.

2. Podkreślone przez Was wyrazy wpiszcie pionowo do naszej tarczy zegarowej rozpoczynając od godziny I, a kończąc na XII. Litery oznaczone gwiazdkami, czytane pionowo, dadzą rozwiązanie-hasło, które należy napisać **na kartce pocztowej** (nie w liście) i wysłać do dnia 10 stycznia 1971 r. pod adresem: „Świat Młodych", Warszawa, ul. Mokotowska 24, z dopiskiem: **Zimowy Konkurs PZU**, no i — rzecz jasna — z dokładnym adresem nadawcy. Ale nie spieszcie się...

3. ...Nie na tym bowiem koniec. Druga połowa tarczy zegarowej od godz. XIII do XXIV to tak zwana **kombinatka.** Litery zawarte w rzędach pionowych od XIII do XXIV należy poprzestawiać w takiej kolejności, żeby utworzyły sześcioliterowe wyrazy.

Najlepiej w tym celu przerysować drugą połowę tarczy zegarowej na kartkę oraz zaznaczyć na niej pola obwiedzione ramkami, w których są cyfry od 1 do 26. Właśnie te litery, czytane w kolejności od 1 do 26 utworzą drugie hasło, które należy zapamiętać i wpisać również na kartkę pocztową pod hasłem pierwszym. Na jednej kartce wpiszcie dwa hasła.

Jak zauważyliście, nasza tarcza zegarowa obliczona jest na całą dobę. Oznacza to, że każdy człowiek powinien być stale ubezpieczony.

Oto nagrody zakupione z funduszu prewencyjnego PZU w Warszawie:

Dwa rowery, sześć odbiorników tranzystorowych, sześć zegarków na rękę, cztery budziki, sześć piłek do siatkówki, sześć kompletów narzędzi do majsterkowania i dziesięć bonów książkowych.

Pozdrawiają Was i życzą powodzenia autorzy konkursu:

ANTONI ŻUKOWSKI
i
WACŁAW BISKO
oraz
Mieczysław Teodorczyk
który Wam to wszystko narysował.

A) Dziś rozpęd mnie pcha na wagary,
a ja szosą do szkoły kroczę.
Nie wpadnę pod „Nysy" ni „Stary",
bo chadzam lewym poboczem.

B) Chroń gardło — to dobra zasada,
chroń uszy — to pewnik jest prawie.
Na lód nie wchodź, nim go nie zbadasz,
bo można utonąć i w stawie.

C) Kiedy już śniegi zasnują niebo,
na sannę ciepło się ubieraj...
zjeżdżaj na sankach, ale nie bądź
zawalidrogą dla szofera.

D) To wcale nie jest śmiechu beczka —
rzekł piewca szosy nie bez powodu:
Korzeń głupoty zjadł ten koleżka,
który uczepił się samochodu.

E) Wielki strach i wielka trwoga
małym dzieciom krzywdę czyni.
W domu, w szkole i na drogach
zaopiekuj się młodszymi.